AS

Nr. 5 STYCZNIA 1938 CENA 40 GROSZY

Do St. Moritz? – do Kitzbühel? Nie! do Zakopanego!

FOT. WILLINGER – WIEDEŃ





JALU KUREK

FRAGMENT

ZAMUROWANA RZEKA

Wkrótce wyjdzie w druku nowa powieść Jalu Kurka pt. „Zamurowana rzeka", którą autor osnuł na tle budowy zbiornika i zapory wodnej na Sole w Porąbce. Poniżej zamieszczamy fragment z tej powieści, stanowiący dla siebie zamkniętą całość.

W poniedziałek koło południa krzyk straszny rozległ się nad budową. Walek podniósł oczy od młota i zobaczył dwóch ludzi, lecących z rusztowania na gruz koryta; jeden człowiek kołysał się w powietrzu, uczepiony na linie, rozpaczliwie krzycząc.

Zatrzymała się robota. Wszyscy biegli ku rusztowaniu, gdzie zdarzył się wypadek.

— Po lekarza!

— Telefonować do Białej!

W powietrzu nad drabinami rusztowania chybotał się na linie robotnik, wrzeszcząc nieludzko. Górna część przerwanej liny, której uchwycił się, ocaliła go od śmierci. Rzucono mu z desek linę, której uchwycił się jedną ręką, i przyciągnięto go do pala. Linę zakręcono za słup, spuszczono drabinę; zeszedł po niej człowiek, który dwoma pasami związał ciało wiszącego przy palu, poczem z góry podniesiono go na linie na najwyższą platformę rusztowania.

Nic mu nie było. Był tylko blady z trwogi przedśmiertelnej. Za to u stóp zapory skręcali się z bólu dwaj robotnicy. Jeden — Józek Pluta, drugi Koždoń z Sopotni, obaj druhowie wierni, członkowie Jedynki.

Nachylali się nad nimi inżynierzy: Balcerzak, Krupiński, Wróbel. Lekarz przybiegł z kolonji i dawał coś do picia Plucie. Ten skrzywiony, z gestem cierpienia przełykał lekarstwo. Nosem pokazała się krew. Koždoniowi szła krew z ust.

— Złamane obie nogi — mówi Wróbel do Balcerzaka, pokazując na Józka.

Powtórnie zaalarmowano telefonicznie ubezpieczalnię w Białej, prosząc o jak najszybsze wysłanie pogotowia ratunkowego. — Auto już jest w drodze — brzmiała odpowiedź. Posłano po naczelnego inżyniera, który pojechał do Międzybrodzia na komisję szacunkową do wywłaszczonych chłopów.

Walek ze łzami w oczach spoglądał na Józka; oto jego kolega z połamanemi nogami leży na kamienistym korycie Soły, broczący krwią z nosa. A Balcerzak, schylony nad nim, trzyma, wzruszony, jego rękę, pełen współczucia.

Czy Józek poznaje go? Oczy jego jakieś szklane, powleczone mgłą, pozbawione dawnej żywości, z ust dobywa się niezrozumiały bełkot, stanowiący jęk, skargę bolesną.

- Przenieść ich na drogę.

Delikatnie ułożono ich na noszach i niesiono jakby w żałobnym pochodzie w górę. Walek szedł wraz z innymi z młotem na ramieniu jakby w smutnej eskorcie. Od strony Kęt słychać było ostry, przeszywający sygnał samochodowej trąbki.

— Zatrzymajcie się chwilę. Krew zatamujemy.

Lekarz zdjął z pod nosa Józkowi zakrwawioną watę; namaczał nową w jakimś płynie, obłożył nos. Podjęli go towarzysze dalej i nieśli. Trąbka automobilu była coraz bliżej.

Z drugiej strony baraków przyszli ogniowcy i część Dwójki. Ogarniały ich obu leżących na deskach, o świecie nie wiedzących — oczy szare, niebieskie, czarne, od roboty zakurzone, ale współczujące i dobre.

Przy podjeździe na przyczółek stanął samochód z niebieskim krzyżem na okienkach, wyszedł z niego lekarz za okularami i pielęgniarz. Ludzie wynieśli z wozu nosze. Dwie pary. Ułożono rannych na wyścielanych sprężynowych noszach jak na materacach. Lekarz zbadał obu, zaglądał im do ust, rozwierał powieki, dotykał rąk i nóg.

— Czy wymiotowali?

— Nie — odpowiedzieli zgodnie zgromadzeni.

Potem pokazano lekarzowi z góry rusztowanie, z którego spadli: 20 metrów wysokości. Jeszcze widniała zaczepiona u słupa lina śmiercionośna, w połowie przerwana. Lekarz popatrzył, pokiwał głową.

— Jazda! — powiedział.

Odgrodziwszy się warkotem i dymem od obecnych, ruszyli szybko. W ślad za nimi pogoniły oczy zgromadzonych kilkuset ludzi, a kiedy auto zniknęło w dole w tumanach kurzu — pogoniły jeszcze za nim aż do szpitala w Białej — myśli ludzi, pracujących na budowie.

Walek był niepocieszony.

— Matka będzie się martwić. Zbijak był, ale dobry chłopak. Może mu nic nie będzie.

I żal mu się zrobiło, że wśród tych lasów, przy robocie pożytecznej i wspólnej nieszczęście dotknęło jego najbliższego towarzysza, jego właśnie wśród tylu setek ludzi. Pamięta wprawdzie, że Józek podlizywał się inżynierowi, że ubiegał go w pracy, że starał się wybłysnąć ponad niego, że trwała między nimi zawiść w robocie — ale w gruncie rzeczy lubili się bardzo.

— Czy będą żyli?

— Czy ja wiem? Nie jestem lekarzem. Ale z 20 metrów paść na kamienie, to nie głupstwo.

Z tępym uporem bił w gruz żwirowy, kamyki odlatywały niebezpiecznie, mogły komuś wpaść do oka; koledzy odsunęli się od niego. Zagwizdała syrena na godzinę drugą, zawyła krótko, jakby żałośnie, jakby i ona dzieliła z nimi smutek po dwóch rannych towarzyszach.

Poszli wszyscy gromadnie, cała ustępująca zmiana — pod rusztowanie bloku 6-go na miejsce wypadku. Nie puszczono ich bliżej. Inżynierowie spisywali protokół, oglądali linę.

— Ma przyjechać komisja z Żywca i z Krakowa — mówi maturzysta przy obiedzie u Maconiowej (także i on stołował się tam).

Popołudniu Jedynka wywoziła kamienie z wykopu na środek koryta. Junacy sypali pracowicie kopiec za wyspami, z którego regularnie czubek zbierał nachylony z góry wagonik kolejki, poczem zwierał się i uniesiony w górę potężnem ramieniem dźwigni, zataczał w powietrzu wolny szeroki łuk, zniżał się nad lej betoniarki, rozłamywał się napół, wysypując gruz.

Walek nie mógł zapomnieć o Józku.

— Patrz-no Zygmunt — pokazuje maturzyście wagonik, idący w górę — jakbyś tam teraz był, i w dół bracie gruchło cię tak — co?

— Toby miazga była i nic więcej.

— E, znowu tam! Z takiej wysokości? Ile będzie? 12 metrów. A Józek spadł z liny; to jest 20 metrów i nogi sobie połamał.

— Dajcie spokój — wtrącił się Lisak — on sobie już dobrze we wnętrzu dogodził. Tylko tego nie było widać. Wszystkie kości ma napewno połamane w kręgosłupie. A pewnie i nerki sobie odbił.

Wieczorem w świetlicy rozeszła się straszna wieść. Przyniósł ją pierwszy Lisak od inżynierów z kolonji. Józek umarł w Białej. Koždoniowi trochę lepiej, ale też niewiadomo czy wyjdzie z tego.

Walkowi aż dech zaparło.

— Umarł? Jezus kochany — umarł? Józek, rany Boskie, ale sobie dogodził! Ale bedzie matka płakać!

Przypomniał sobie ostatnią zwadę z Józkiem i chwycił go straszny żal, tak że już słowa więcej nie powiedział.

Noc przeszła mu ciężko, pełna męczących obrazów. Widział siebie wraz z Józkiem na rusztowaniu. Posłał ich tam obu Balcerzak. Zaciągali liny do świdra. Jeden trzymał linę, drugi piął się po słupie ponad nim.

— Ja wyjdę, ty mi podaj linę — krzyknął Józek i ściągnął ze słupa Walka na rusztowanie.

Wyszedł ze dwa, trzy metry w górę, gorąco piekło nieznośnie, otarł sobie ręką pot, zalewający oczy, roztworzył dłoń i krzyknął:

— Rzuć!

Ten zamachnął się i rzucił w kolegę, rzucił mocno, za mocno. Józek, jakby broniąc się przed liną, podniósł ręce do oczu, zasłonił się wtedy odpadł górną połową ciała od słupa i runął w dół.

Z krzykiem obudził się Walek. Była noc głęboka. Wszyscy spali. Ciężko zasnął z powrotem. *Dokończenie na str. 31-ej.*

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 5 **Niedziela, 30 stycznia 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 5-GO



W ub. niedzielę rozegrano na zakopiańskim torze szereg gonitw, które zainaugurowały tegoroczny sezon zimowych wyścigów konnych. Impreza cieszy się wielkiem zainteresowaniem nietylko licznie przybyłych pod Giewont sportsmenów, ale i mieszkańców stolicy, którzy grają obecnie w totalizatora na Zakopane. Za zdjęciu: Fragment II gonitwy, w której zwyciężył „Gross Country" p. Mrugaczewskiej.
Fot. „As"



Z POD ZNAKU Pogoni

Kilka miesięcy temu cała prasa polska i zagraniczna zamieściła fotosy z ślubu księcia Augusta Czartoryskiego z księżniczką Dolores de Bourbon — Obojga Sycylji, córką Don Carlosa i Ludwiki z ks. de Bourbon. Na zdjęciach tych widzieliśmy zarówno ekskróla Alfonsa XIII, który jest wujem ks. Czartoryskiej, jak ekskróla Ferdynanda bułgarskiego, również krewnego obojga państwa młodych i królowę Amelję portugalską, poza wieloma innymi członkami domów panujących: ślub był wydarzeniem nietylko rodzinnem w dostojnem gronie domów panujących, ale przypomniał też wielką rolę historyczną domu Czartoryskich, który, zwłaszcza w ostatnich 200 latach, przemożny wywarł wpływ na nasze dzieje. Nazwisko to przecież łączy się ściśle również z powstaniem styczniowem, skoro książę Władysław Czartoryski, syn sędziwego ks. Adama Jerzego, naczelnika rządu narodowego w r. 1831 był, przynajmniej przez obóz zachowawczy, uważany za przyszłego króla polskiego, a słynny „Hôtel Lambert" w Paryżu, siedziba Czartoryskich — naszą jedyną dyplomatyczną ekspozyturą zagranicą, urabiającą opinję Europy w sprawie polskiej.

Jakże trudno jednak, mimo te wielkie zasługi, mimo tylu wybitnych reprezentantów rodziny, ocenić jej „ciężar gatunkowy" w historji, jakże trudno, bezstronnie i dosadnie scharakteryzować jej rolę! W Polsce znaczenie rodziny mierzono ilością senatorów, tj. ludzi, mogących z racji urzędu zabierać głos w sprawach państwowych. Pewni historycy i heraldycy starali się nawet wyciągnąć z ilości senatorów pewne matematyczne wnioski co do ich znakomitości, określając je zależnie od tego jako magnatów lub karmazynów. W tym kalejdoskopie senatorskim z żyjących rodzin utytułowanych do pierwszej kategorji zaliczono Lubomirskich, z 17 senatorami, Jabłonowskich z 8 sen., Radziwiłłów z 40 sen., Potockich z 38 sen., Sanguszków z 10 sen., Sapiehów z 38 sen. Następnie Dąmbskich z 19 sen., Chodkiewiczów z 16 sen., Działyńskich z 26 sen., Krasińskich z 21 sen., Ostrorogów z 20 sen., Tarnowskich z 21 sen., Tyszkiewiczów z 20 sen. itd. Obliczanie to jest zawodne, jak zresztą niejeden sąd historyczny: należy wziąć pod uwagę jednostki danej rodziny, ich wpływ na losy kraju i stąd dopiero wysnuwać wnioski. Jeżeli chodzi o Czartoryskich, to aż cztery generacje tego rodu wpływały w przemożnej mierze na ukształtowanie się losów kraju, wykazując zawsze wielki patrjotyzm, ofiarność, wielką mądrość w czynie i wszelkie cechy, jakie są potrzebne przywódcom narodu. Nic też dziwnego, że już ks. August Alexander, wojewoda ruski był jednym z kandydatów do tronu, syn zaś jego ks. Adam Kazimierz, jenerał ziem podolskich i komendant korpusu kadetów, stworzonego przez Stanisława Augusta, nie uzyskał korony jedynie dzięki własnemu zrzeczeniu się. Trzecia generacja, t. j. ks. Adam Jerzy, przyjaciel ces. Aleksandra, prezes rządu pol-



Na prawo: Ks. Adam Czartoryski, generał Ziem Podolskich, 1734—1823, według pastelu ze szkoły Quentin de la Tour.






Od lewej: Cztery generacje Czartoryskich: — ks. Adam Jerzy, prezes rządu powstańczego 1831 (portret Delaroche), ks. Władysław, założyciel Muzeum w Krakowie, ks. Adam Ludwik, ordynat sieniawski, ks. August i jego małżonka ks. Marja Dolores de Bourbon.



Pałac w Puławach w perspektywie.
Fot. Ksawery Niedobitowski Morszyn.

skiego w powstaniu 1831 r., był jedną z najwybitniejszych postaci powstania listopadowego. On to w swej siedzibie paryskiej „Hôtel Lambert", był czynnikiem, utrzymującym z gabinetami europejskimi ciągły kontakt, mający swych agentów dyplomatycznych i wpływający drogą osobistych stosunków, zwłaszcza z dworem Napoleona III, na utrzymywanie sprawy polskiej w stanie aktualności. Gdy w r. 1853 wybuchła wojna krymska, zdawało się, że kwestja odbudowy Polski jest bliską, pierwsze też próby konkretnego rozwiązania tej sprawy wychodzą z „Hôtel Lambert" w czerwcu 1853 r. Ks. Adam wyjednał też od rządu francuskiego pomoc dla formacji kozaków sułtańskich Czajkowskiego. Dzielny Sadyk pasza, którego oddziały, mające być po stronie Turcji zawiązkiem przyszłej armji polskiej, bez ogródek wyraża się o konieczności ogłoszenia Czartoryskiego królem polskim, a koncepcja ta przenika do gabinetów europejskich, które zasadniczo akceptują tę możliwość na wypadek oderwania się Polski od Rosji.

I zresztą nic w tej koncepcji nie było dziwnego, skoro zważymy już nie tylko pochodzenie Czartoryskich, którzy są jedną z linij udzielnego domu panującego na Litwie, tj. Gedyminowiczów (czego zresztą wyraźne potwierdzenie otrzymali w Polsce w r. 1442), ale też ich rolę społeczną, ich wielki majątek i wyrobienie polityczne. Ciekawie na tę kwestję wypowiada swoje poglądy autor broszury „Rzecz o monarchji w Polsce", Janusz Woronicz (1839), który wyrażając opinję sfer, dążących do ewolucyjnego, nie zaś rewolucyjnego rozwiązania przyszłej formy rządu Polski, dochodzi do przekonania, iż dom Czartoryskich jest właściwą dynastją polską i że ona jedynie może objąć tron. Oczywiście wszystkie historyczne rozważania na temat możliwości restytucji monarchji nie liczyły się z faktami, a raczej wyprzedzały fakty, które miały ostatnie jednak słowo. Ciekawem jest podkreślić, iż żadna rodzina poza Czartoryskimi, określanymi wtedy mianem „Familji" nie posiadała na przestrzeni 150 lat własnej rodzinnej polityki, dążącej do wydobycia Polski z chaosu demokratyzmu szlacheckiego i postawienia jej na płaszczyźnie silnej, uporządkowanej monarchji. Jeżeli pierwsze próby tej reformy można spotkać już w poczynaniach ks. Augusta, który przez ożenienie się z ostatnią z Sieniawskich na Sieniawie, Zofją, znacznie pomnożył swój majątek, to przetrwały one do ks. Władysława, syna ks. Adama Jerzego, działacza politycznego w r. 1863. Jakkolwiek, jak wiadomo, ani powstanie styczniowe ani też starania dyplomatyczne Czartoryskich nie dały pozytywnego rezultatu, to jednak pozostali oni w oczach polityki międzynarodowej reprezentantami sprawy narodowej. Dwukrotne małżeństwo ks., pierwsze z córką królowej Krystyny hiszpańskiej i Ferdynanda Munoz, księcia de Rianzarès, Marją Amparo, a drugie z Małgorzatą ks. Orleańską, córką ks. Ludwika de Nemours i Wiktorji ks. sasko-kobursko-gotajskiej, a wnuczką króla Ludwika Filipa, jeszcze bar



Na lewo: Ks. Olgierdostwo Czartoryscy z dziećmi.
Fot. Rubens — Poznań

Poniżej: Pałac w Baszkowie ks. Olgierdostwa Czartoryskich. *Fot. Rubens — Poznań*



takt z dworami europejskimi. Odtąd Czartoryscy, są bodaj jedyną rodziną polską, zawierającą stale nieomal związki z dynastjami Europy: kilkakrotnie z Bourbonami, z Habsburgami, ks. würtemberskimi. Przypomnijmy też, że późniejszy Napoleon III, jako książę-prezydent starał się o rękę córki ks. Adama Jerzego, ten jednak nie uważał Bonapartego za właściwą partję, widząc w nim nietyle przyszłego monarchę co awanturnika politycznego w wielkim stylu. Inaczej zapewne wypadłby może los powstania styczniowego, — o ile można snuć przypuszczenia, opierając się na niedokonanych faktach — gdyby na tronie francuskim zasiadła Polka!

Gdy przed wojną światową kwestja polska coraz bardziej znów stawała się aktualną, wywołało małżeństwo ks. Olgierda Czar-

Dokończenie na str. 7-ej



Na lewo: Z przyjęcia u ks. Czartoryskich w Baszkowie z okazji srebrnego wesela. W drugim rzędzie od lewej: Ks. Roman Czartoryski z Konarzewa, arcyks. Alicja Habsburgowa, arcyks. Karol Olbracht Habsburg z Żywca, Mechtylda z Habsburgów Czartoryska, ks. Olgierd Czartoryski, ks. Marja Zdzisławowa Czartoryska, hr. Szołdrski.
Fot. Rubens — Poznań

SZTUCZNE KWIATY

ozdobą wnętrz

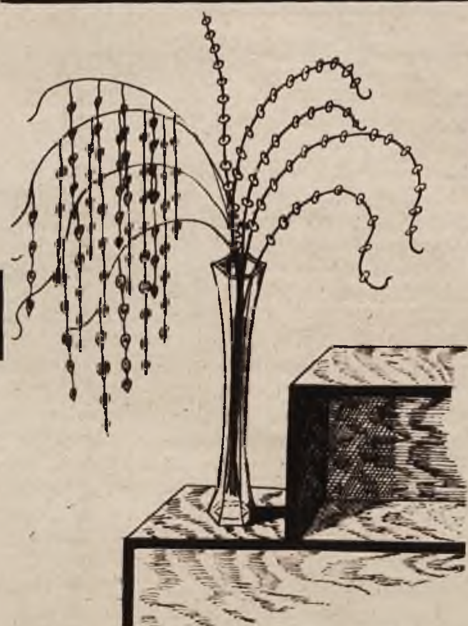


Efektowne kwiaty z rodoidu w kryształowym flakonie.

Wszyscy pamiętamy, a u niektórych jeszcze do dzisiaj w starych lamusach, przechowujących dawne pamiątki, można znaleźć sztuczne kwiaty. — Przyprószone pyłem zapomnienia, dożywają dni swoich w szarym kąciku, wspominając czasy naszych prababek i babek. Robione z różnych materjałów, jak płótna, papieru, bibułki, kolorowanych piór, kryją w sobie swoiste piękno rzeczy niedawnych, których żywe kolory rozjaśniają orzechowe komody lub trymudki. Żyją one jeszcze po skromnych chatach ludności wiejskiej, zdobiąc kolorami tęczy święte obrazy w świetlicy.

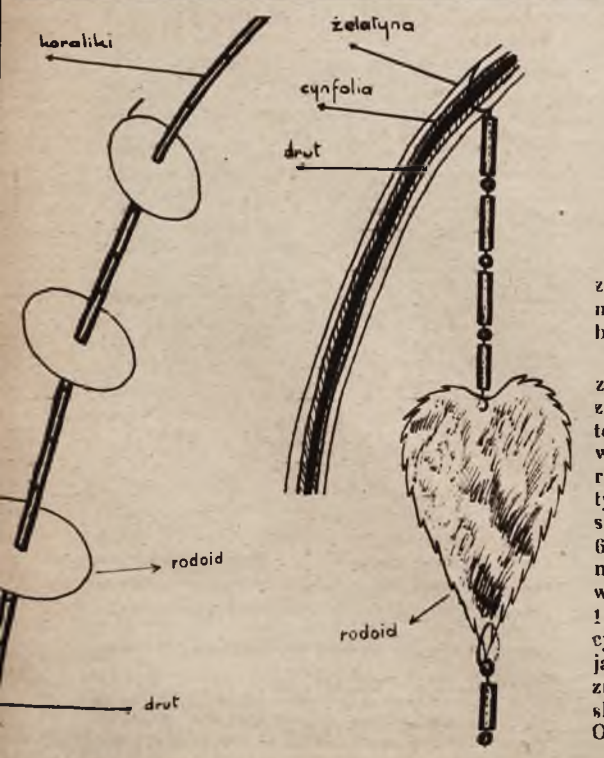
Piękne nieraz o prostych formach, przypominały zdaleka do złudzenia kwiaty żywe, drgając, jak gdyby utajonem życiem. Przeżyły one niewątpliwie swój okres rozkwitu i dzisiaj musiały ustąpić z pola walki innym formom i innym materjałom. — Umiłowanie bowiem piękna i potrzebą estetycznego urządzenia mieszkania, choćby bardzo skromnemi drobiazgami, tkwi jednak we wszystkich ludziach i dzisiejsze nowocześnie urządzone wnętrze domagało się jakichś nieodbijających od tła drobiazgów, o miłym, ożywiającym wyglądzie.

W lecie mogły to czynić z powodzeniem cięte, żywe kwiaty, aby zaś i w zimie nasz kącik nie stracił miłego wyglądu, możemy go ozdobić sztucznemi liśćmi i kwiatami, których głównym materjałem jest rodoid. Kwiaty te odpowiadają całkowicie zasadom nowoczesnej higjeny, gdyż mogą one być myte wodą i przy prostych formach nie gromadzą w sobie prawie zupełnie kurzu. Kwiaty takie niewątpliwie każdy z nas miał sposobność oglądać na różnych wystawach sklepowych jednak dość wysoka cena tych artykułów nie wszystkich zachęcała do kupna. W dzisiejszym artykule podaję sposób robienia najprostszych liści i formy stylizowanej gałązki, których kilka czy kilkanaście sztuk w wazonie będzie piękną ozdobą każdego wnętrza.



Na lewo; A oto jak wygląda inna odmiana sztucznych kwiatów, których wykonanie opisane jest w niniejszym artykule.

Poniżej od lewej: Schemat wykonania sztucznej gałązki brzozy. — Forma stylizowanej gałązki z koralików i rodoidu. Rysunki autora.



Pierwszą naszą pracą będzie gałązka brzozy. Dla wykonania jednej gałązki należy zakupić 1 dkg. żółtego rodoidu, arkusz żółtej cynfolji arkusz cienkiej żelatyny (używanej do pakowania czekoladek), 2 kg koralików, harmonizujących z kolorem żółtym (okrągłych i podłużnych) i postarać się o drut żelazny lub stalowy, długości od 60 cm do 70 cm, a grubości 1 mm do 2 mm. Arkusz cynfolji i żelatyny tniemy wzdłuż całego arkusza na paski, szerokości 1 cm. Następnie owijamy cały drut paskiem cynfolji, kolorem żółtym na zewnątrz, sklejając go na końcu syndetikonem lub związując nitką. Potem owijamy cały drut paskiem żelatyny, sklejając ją na końcu. — Otrzymamy w ten sposób gałązkę. Gdybyśmy chcieli otrzymać gałązkę w innym kolorze, musimy użyć odpowiedniej cynfolji.

Następnie wykonujemy liście. Kształt liści brzozy rysujemy ołówkiem na pasku rodoidu i wycinamy je nożyczkami. Liście powinny być różnej wielkości. Następnie nawlekamy na nitkę parę koralików (na długość około 3 cm) i przymocowujemy u spodu blaszkę liścia. U spodu blaszki przymocowujemy znowu nitkę nawlekamy kilka lub kilkanaście koralików i znowu przymocowujemy blaszkę liścia. Możemy w ten sposób złączyć ze sobą kilka blaszek, które następnie przymocowujemy do gałązki. Na jednej gałązce umieszczamy kilka w ten sposób złączonych liści, jak to jest przedstawione na rysunku. Pamiętać należy, aby liście większe umieszczać bliżej gałązki.

Drugą naszą pracą będzie forma stylizowana gałązki. W tym celu na zakupionym rodoidzie rysujemy szereg mniejszych i większych kółek (cyrklem) i wycinamy je. Kupujemy 2 dk. podłużnych koralików i drut stalowy takiej grubości, aby koraliki z łatwością można nań nawlekać.

Kolor rodoidu i koralików należy odpowiednio dobrać. Jeden koniec drutu spłaszczamy młotkiem, nawlekamy na drut kilka koralików i nakładamy najmniejsze kółko. W ten sposób nawlekamy do połowy drut koralikami i kółkami, biorąc tym razem większe kółka. Pozostałą połowę drutu nawlekamy tylko koralikami. Drugi koniec drutu również spłaszczamy, aby zeń koraliki nie spadały.

Byłyby to dwie zupełnie proste formy sztucznych liści. Wykonanie ich nie nastręcza nam żadnych trudności.

Antoni Budzicki.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki Grecji i Brazylji.

W obecnym numerze zamieszczamy znaczek najnowszej greckiej serji, przedstawiającej sceny z antycznej sztuki i historji (ze zbioru p. Skwirzyńskiego) oraz bardzo ładny bladoniebieski znaczek brazylijski, wydany w dwóchsetlecie założenia Rio Grande do Sul.

W. H.

Dokończenie ze str. 5-ej.

toryskiego, syna ks. Zdzisława i księżnej Marji z Prawdzic-Zaleskich, z arcyksiężniczką Otylją, córką arcyks. Karola-Stefana z Żywca, żywe echo również w sferach politycznych. Obecnie ks. Olgierdostwo Czartoryscy obchodzili w swej pięknej rezydencji w Baszkowie swe srebrne wesele a gościnny ich dom stał się miejscem spotkania licznych krewnych i przyjaciół domu Czartoryskich. Uroczystości, jakie miały miejsce w Baszkowie z tej okazji wykazały wielką popularność gospodarzy i serdeczne węzły, łączące dwór baszkowski z ludnością miejscową. — Uroczystości zaszczycił swoją obecnością również J. E. ks. kardynał Hlond, wręczając księstwu błogosławieństwo papieskie. Dnia 12 bm. odbyło się uroczyste nabożeństwo w kościele baszkowskim, następnie zaś liczne delegacje poszczególnych organizacyj z okolicy złożyły księstwu swe życzenia. Księstwo podejmowali w pałacu baszkowskim przybyłych, a popołudniu odbyła się w Domu Katolickim akademja przy udziale grona nauczycielskiego i miejscowych towarzystw, poczem prezesi organizacyj baszkowskich wręczyli księstwu swe odznaki honorowe. Do licznych już dobroczynnych fundacyj ks. Czartoryskich przybyła jeszcze jedna: Oto ks. Olgierdowa Czartoryska ufundowała w dniu swego srebrnego wesela ochronkę dla miejscowych dzieci. Jak dalece rodzinna uroczystość Czartoryskich odbiła się żywem echem w całym kraju i zagranicą, dowodzi fakt, że wśród licznych telegramów gratulacyjnych nie brakło również życzeń kardynała Pacelli i króla Bułgarji, Ferdynanda.

Jak dawniej, w szlachetnem przewodzeniu narodowi, w pracy nad odzyskaniem niepodległości, tak dziś Czartoryscy, dzięki swym licznym fundacjom naukowym i dobroczynnym, a m. in. stworzeniu muzeum w Krakowie i w Gołuchowie, do którego weszły bezcenne arcydzieła z puławskich zbiorów, zajmują poważne stanowisko wśród pomnożycieli naszej kultury, zatrzymując również prymat w życiu towarzyskiem wszystkich naszych ziem. Uroczystości w Baszkowie stały się też ewenementem towarzyskim, który wzbudził szerokie echo.

Jan Maleszewski.

Królowa tańca
na lodowej tafli w Davos







Cecylja Colledge w efektownej „jaskółce" na stadjonie lodowym w Davos.



Młodociana „królowa tańca na lodzie" i jej urocza mamusia śledzą przebieg meczu hokejowego w Davos.



Na lewo: Piękna Cecylja z naręczem kwiatów, które jej ofiarowano po występie na lodowej tafli.

Cecylja Colledge, mistrzyni świata w jeździe figurowej wystąpi na stadjonie lodowym w Davos" — głosiły plakaty, rozwieszone wzdłuż promenady, w hotelach, pensjonatach, dancingach, barach — dosłownie wszędzie. Szła fama od ust do ust o niedościgłym kunszcie Angielki, o jej wdzięku i czarze, jaki wokół siebie roztacza.

I nadszedł moment niecodziennego widowiska, które miało porwać i oczarować kilkutysięczną rzeszę międzynarodowej publiczności, tak bardzo zblazowanej i tak wymagającej.

Piękny stadjon lodowy w Davos, skąpany w promieniach upalnego słońca alpejskiego, zapełnił się do ostatniego miejsca. Oczekiwanie skracają płynące z głośników melodje ostatnich przebojów muzycznych, których refreny podchwytują zwłaszcza Anglicy, tłumnie zalegający stadjon. Przybyli tu, aby zobaczyć swoją rodaczkę i zarazem ulubienicę, podzielić się jej triumfem i podziwiać mistrzowskie jej ewolucje, nie jak zwykle w dusznych i zadymionych, krytych pałacach lodowych Londynu, lecz na otwartem powietrzu — wśród niezrównanej scenerji alpejskiej zimy. Rozmowy toczą się na temat, czy i miss Colledge pójdzie śladami Sonji Henie i wstąpi do filmu. Gorący grog, roznoszony przez wytwornych kelnerów, cieszy się wielkiem powodzeniem i podnieca jeszcze bardziej umysły.

Wtem megafony zapowiadają początek popisów ulubionej „Cecylji", jak tu ogólnie poufale nazywają młodocianą mistrzynię.

Na tafli lodowej pojawia się niby barwny motyl wiośniana sylwetka godnej następczyni Sonji Henie — królowa tańca, miss Colledge, witana frenetycznemi oklaskami. Ubrana w przejrzysty, pstrokaty kostjum i modną dziś chustkę wiejską w kolorze maków, dosłownie płynie po lodzie w takt wiązanki tańców Schumanna. Potem lekko zgina kibić i rozpoczyna taniec, ułożony wedle ściśle opracowanego repertuaru płyt. Zaczyna się popis, w czasie którego piękna dziewczyna roztacza przed oczami wpatrzonego w nią tłumu cały swój kunszt, a czyni to z niebywałą precyzją, gracją i pewnością ruchów. Urocza maman, mrs. Colledge, z którą młoda mistrzyni wszędzie podróżuje, siedzi przy stoliku sędziowskim i trzyma w ręku słuchawkę telefoniczną, przez którą reguluje tempo nadawanej płyty, dając odpowiednie instrukcje operatorowi w kabinie muzycznej.

Tempo tańca wzmaga się — jest coraz żywsze, gorętsze, namiętniejsze... Niejeden z widzów doznaje zawrotu głowy od szalonych piruetów, podwójnych „Axel Paul-

senów", wkońcu całej gamy możliwości tańca na lodzie, który w wykonaniu miss Cecylji graniczy już z akrobacją. Każdy widzi i odczuwa to, że młoda dziewczyna wprost zatraca się w wspaniałych ewolucjach, że jest w swoim żywiole.

Pauza. Publiczność faluje na trybunach — przewija się wokół stadjonu wielobarwnym wężem przez miejsca stojące. Wszyscy są pod wrażeniem popisów pięknej Angielki i gdy po przerwie ukazuje się ona drugi raz na lodzie, oklaski nie mają końca, trwają w permanencji. Teraz „Cecylja" tańczy w rytm ognistych melodyj węgierskich Brahmsa. Myliłby się ten, ktoby sądził, że temperament miss Colledge jest sztuczny, wywołany na pokaz. Ta, jakby się niejednemu zdawało „zimnokrwista córa Albionu", odczuwa głęboko rytm i zew melodyj, które zrodziła puszta węgierska. A czyni to w tańcu tak ujmująco i plastycznie, że nikt z widzów niema wątpliwości, iż piękna Cecylja jest naprawdę bardzo muzykalna.

Tańce węgierskie wykonuje mistrzyni w efektownym kostjumie ze złotej lamy, który widzimy na zdjęciu z własnoręczną jej dedykacją dla Magazynu „As". Wszyscy jednogłośnie stwierdzają, że popis taki, to nie zwykła, banalna jazda figurowa, lecz prawdziwie artystyczna kreacja taneczna, skomponowana od początku do końca, nie wykazująca najmniejszych załamań i chwilowych improwizacyj.

Tak — Colledge, to mistrzyni świata, artystka w swoim rodzaju chyba jedyna na kuli ziemskiej. Arcytrudny i bardzo długi program wykonała z niespotykaną precyzją, pewnością i gracją, demonstrując zupełnie nowoczesną szkołę jazdy figurowej. Jak mi mówili tutejsi fachowcy, talent młodej Angielki, jej umiejętności przekroczyły znacznie granicę, którą wytyczyła „czarodziejka lodu" Sonja Henie. Ich zdaniem: Cecylja Colledge — to objawienie na lodzie!

Po występie wprost zasypano ją kwiatami i czekoladkami, domagając się ze wszystkich stron autografów. Miss Colledge udzielała ich chętnie, obdarzając przytem każdego czarującym uśmiechem. Szelmutka wie dobrze, że z tym uśmiechem bardzo jej do twarzy, szczególnie wtedy, gdy cała armja fotoreporterów przypuszcza szturm i dziesiątki objektywów mają ten uśmiech utrwalić i przekazać prasie całego świata.

* * *

Dochodziła godzina piąta popołudniu... W luksusowym barze hotelowym drzemie w wygodnych fotelach kilka osób, które sen zastał przy poobiednich cocktailach. Czekam już dobrych parę minut, gdy wtem rozchyla się ciężka purpurowa kotara i przed nią staje „królowa lodu" we własnej osobie:

— *Oh! you are coming from Poland? I have heard there are so many beautiful and smart ladies!* (Ach pan jest z Polski? Słyszałam, że macie tam tak wiele pięknych i eleganckich kobiet) — recytuje jednym tchem z uroczym uśmiechem miss Cecilie i podaje mi równocześnie rękę.

Dokończenie na str. 20-tej.



Na lewo: Mistrzowski piruet mistrzyni świata w jeździe figurowej na lodzie.

Poniżej: Efektowne zdjęcie Cecylji Colledge, na którem umieściła ona dedykację dla Magazynu „As".





Poniżej: Miss Colledge w chwili odjazdu z Davos.

Wszystkie zdjęcia fot.: Zygmunt Borzęcki, Davos.

Rysunki: Alfred Żmuda



Laureat

ZYGMUNT CZYŻOWSKI

Nowela wyróżniona na Konkursie „Asa" na najlepszą nowelę

...Toż to prawdziwe Himalaje! — nasunęło mu się porównanie z cyklu „podróże egzotyczne", kiedy stos aktów urósł na jego stoliku w tak wysoką górę, że zasłonił mu widok urzędnika, siedzącego przy bliżniaczo kulawym stoliku naprzeciwko niego i „odwalającego" ze zrezygnowaną miną beznadziejnie monotonne „kawałki".

— Nigdy się, psiakrew, nie odrobię — westchnął ponuro. — Znowu trzeba będzie harować po nocach: że też się ta cholerna buda nigdy nie spali! Tyle papierów, jak by się to łatwo i pięknie paliło! — Na samą myśl o tak wspaniałym widoku palących się stert szpargałów, uśmiechnął się słodko. Potem już zadowolony z urojonej zemsty nad znienawidzonym nieprzyjacielem, sięgnął po teczkę, leżącą na wierzchu i rozłożył przed sobą kilka niesympatycznych, poobdzieranych na brzegach arkuszy, z których rzuciły się nagle na niego jakieś nieprawdopodobnie śmieszne nazwiska podatników i całą armją ruszyły do ataku szeregi cyfr, kwot, dat, numerów paragrafów i dekretów, liczb bieżących i procentów.

Tym razem Stefan poddał się wrogom odrazu, nawet nie silił się na dłuższy opór. Już po kilku minutach zrezygnował z zrozumienia zawiłej treści upomnień i rekursów i puścił wodze myślom, spoglądając przez zakurzone szyby na jeszcze bardziej zakurzoną ścianę po drugiej stronie podwórza. Myśli jego były takie szare i smutne, jak szary był pokój, w którym pracował, jak papiery, wertowane niepotrzebnie po kilkaset razy dziennie, jak mury urzędu podatkowego i szary, jak ludzie w urzędzie podatkowym, jak on sam i wreszcie szary jak jesienny dzień w Krakowie. Zapewne wszystkie urzędy na świecie są barwy szarej, a szarzyzna w urzędach przy ul. Kanoniczej jest naprawdę przygnębiająca. Tu naprawdę niema miejsca na radość życia, na słońce i pogodę ducha; kto przekroczy tylko bramę i zagłębi się w sień, ziejącą w najgorętsze upały chłodem i ciemnością, już przestaje być normalnym obywatelem tego świata, poprostu przestaje być sobą samym i zatraca wszelką indywidualność. Za ciemną bramą niema już zupełnie ludzi takich lub innych; niema wysokich i niskich, wesołych czy smutnych, ubogich i bogatych, za bramą istnieją jedynie dwie kategorje stworzeń: urzędnicy i „strony"...

Strony są w murach urzędu kastą niższą, upośledzoną, ale mają olbrzymią przewagę nad kastą rządzącą, ponieważ po krótszym lub dłuższym pobycie i mniej lub więcej męczącem zawracaniu głowy, przekraczają bramę i stają się ponownie całymi ludźmi.. Urzędnik jest skazańcem bezterminowym i nawet chwile władczej wyższości nad „stroną" nie osłodzą mu gorzkiej powszedniości pracy i nie ulżą w ciężkiej pracy wygniatania twardego krzesła własnem ciałem.

Stefan był właśnie takim urzędnikiem i chociaż wycierał swe krzesło zaledwie od czterech lat, był przekonany, że siedzi tu już od stworzenia świata. Codziennie wdrapywał się krętemi schodami na drugie piętro, z czarnej klatki schodowej przechodził przez szklane drzwi z odwiecznie rozbitą szybą na ganek od podwórza, okrążał zaśmiecone podwórko na dwupiętrowej wyżynie i gubił się w zakamarkach ciasnych korytarzyków, aż wkońcu docierał do drzwi dawnej średniowiecznej służbówki, na których widniał napis „Podatek od nieruchomości" i kilka nazwisk urzędniczych, między niemi i jego własne, wydrukowanych na maszynie.

Witał się krótkiem „Dzień dobry panom", mruknięłem pod nosem, wieszał palto i kapelusz i z rezygnacją starego konia, który służy w małych miasteczkach do rozwożenia wody, zasiadał za stolikiem zawalonym papierami.

Dawniej jeszcze próbował walczyć z papierową nawałą, ale skoro tylko wciągnął kilka razy do płuc powietrze przesycone charakterystyczną zatęchłą wonią starego papieru, ogarniał go taki bezwład psychiczny, że biernie godził się ze swą niedolą i powoli grzązł w aktach bez nadziei przebycia ich kiedykolwiek. Głodowa płaca pozwalała zaledwie na marną wegetację i Stefan powoli, po kilku obcięciach pensji, obniżył swój poziom życiowy do granic, które kilka lat temu nazwałby dnem nędzy i upadku społecznego. Próbował się buntować i znaleźć jakąś prywatną posadę, ale nawet nie miał czasu za nią chodzić, a bał się opuszczać godziny biurowe, aby nie utracić nawet tej wątłej podstawy bytu.

Teraz przeniósł wzrok od okna i powiódł nim po brzydkich szafach, dosłownie rozepchanych przez wiązki pożółkłych szpargałów. Kto to wszystko zapisał? I poco to wszystko?

Weszła „strona". Spróbowała szczęścia przy kilku stolikach, ale odesłana od wszystkich podeszła zkolei do Stefana i machnęła mu pod nosem jaskrawo żółtym papierkiem.

— Zajęcie? Z której ulicy? — nie patrzył nawet na interesenta.

— Szpitalna, ale to proszę pana już dawno zapłacone, a tu egzekutor..

— Zaraz, powoli. Kwity są?

— Proszę. Zapłacone jeszcze na wiosnę. Mimo to przyszło upomnienie i napisaliśmy wyjaśnienie, ale nic nie pomogło — biadała „strona", wyciągając ze skórzanej teczki jakieś kwity i kopje listów.

Stefan wstał i rozpoczął wędrówkę między stołami i szafami, ale nadaremnie; nie mógł znaleźć właściwych dokumentów i powróciwszy do stolika, zaczął grzebać w „Himalajach". Gdy i to na nic się nie zdało, zbadał przyniesione kwity i powiedział:

— Możliwe, że to jakaś pomyłka, ale akta tej nieruchomości są jeszcze na Grodzkiej, bo Szpitalna dopiero niedawno została nam przydzielona. W każdym razie proszę pójść do naczelnika, drzwi numer osiemnaście i przedstawić mu całą sprawę. Może wstrzyma egzekucję na podstawie kwitów. Do stu djabłów!

Ten ostatni okrzyk nie odnosił się już do „strony", lecz do nieszczęsnych gór papierowych, które przez poprzednie szukanie utraciły majestatyczną równowagę i spora ich część runęła na podłogę prosto do stóp strony, wzbijając chmurę pyłu, reszta zaś rozsypała się po całym stole, grzebiąc pod sobą nowoprzybyłe kwity i listy. Ten drobny wypadek (brzemienny, jak się później okazało w następstwa), rozzłościł Stefana, ponieważ czuł, że traci dystans, jaki powinien go dzielić od plebsu „stron" i aby ukryć złość, pochylił się szybko do zbierania papierów.

I nagle zrobił niesłychanie doniosłe odkrycie. Oto z pośród zrzuconych teczek, wyrastały dwie kolumienki wąziutkie od dołu kształtnie rozszerzające się wzwyż, zasłonięte ciemną kurtyną spódniczki, akurat na wysokości jego twarzy. Nie było żadnej wątpliwości: jego „strona" miała prześliczne nóżki, obciągnięte popielatą pończoszką o kuszącym połysku jedwabiu.

Pozbierał czemprędzej teczki, przyczem odkopał z pod nich zgrabne buciki sportowe i powoli wyprostował się, zmuszając się do przybrania jaknajbardziej urzędowego wyrazu twarzy. Daremnie. Właścicielka smukłych nóżek uśmiechała się wesoło i otwarcie, nie szanując w Stefanie dostojności urzędu. To go zgnębiło ostatecznie i aby sobie dodać otuchy, uśmiechnął się niewyraźnie, po raz pierwszy chyba w tym urzędzie

— Tyle roboty, a tu jeszcze wszystko z rąk leci. — Usprawiedliwiał się niezręcznie, grzebiąc resztę szans utrzymania powagi. — Tu są pani kwity i teczka: drzwi osiemnaste. A właściwie najlepiej będzie, jeśli sam z panią pójdę i jakoś to załatwimy u naczelnika — powziął nową decyzję.

Przy okazji załatwiania zawikłanej sprawy, stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że nóżki doskonale były zharmonizowane z zgrabną postacią i wdzięczną twarzyczką petentki. W dodatku była ubrana tak gustownie i elegancko, że Stefanowi wstyd się zrobiło jego własnego zaniedbania w ubiorze i zaroście. — „Kapcanieje człowiek do reszty na tej posadzie — skonstatował. — Jak ja przy niej wyglądam?".

Na jej podziękowania i pożegnalny uśmiech odpowiedział tak żałosną miną, że sympatyczna panienka roześmiała się bez żenady na cały głos i jak sen rozwiała się w słonecznym prostokącie bramy.

— Nie wiem nawet, jak się nazywa — przypomniał sobie poniewczasie. — Szpitalna 17... to pewno biuro, w którem pracuje. Może jeszcze tu kiedy przyjdzie coś załatwiać...

Zły na siebie powrócił do stolika i układaniem teczek starał się zabić nudę do godziny trzeciej. W trakcie tej zajmującej rozrywki rozmyślał nad tem, jak zupełnie stracił kontakt ze światem towarzyskim zaraz po otrzymaniu posady w urzędzie. A przecież tak chętnie się dawniej bawił, za czasów akademickich! Po czterech latach pracy nie potrafi już nawet rozmawiać swobodnie z młodą dziewczyną, która uśmiecha się do niego. Gdzie się podziały jego dobry humor i swobodny dowcip? Przygniotły je chyba te koszmarne góry papieru, albo udusiły się w zepsutej atmosferze bez słońca i powietrza...

Z pod szarych teczek nieoczekiwanie wyjrzała piękna twarz kobiety. Stefan przez chwilę myślał, że śni, zanim się zorjentował, że to tylko barwna okładka popularnego tygodnika, zapomnianego widocznie przez sympatyczną nieznajomą. Odruchowo przerzucił kilka stron, ale numer był jeszcze nierozcięty i niewiele można było przeczytać. Na drugiej stronie okładki kilka liczb wypisanych grubym tłustym drukiem, przykuło jego uwagę.

— Pierwsza nagroda tysiąc złotych... to akurat tyle co półroczna pensja. Wartoby taką nowelę kropnąć, nareszcie odkułbym się trochę. Mógłbym sobie pozwolić na mały urlop bezpłatny i poszukać jakiejś lepszej posady. Przecież jeszcze w gimnazjum redagowałem pisemko i miałem pewne zdolności. Ale kiedy ja mogę co napisać? W biurze? Niemożliwe! Po biurze jestem tak zmęczony i zniechęcony, że nie potrafię myśli zebrać. — Machnął ręką i odłożył tygodnik, przyczem na okładce zauważył adres: Zofja Galińska, Karmelicka 20.

— Jeżeli nie wróci sama po niego, odniosę jej popołudniu — ucieszył się na tę myśl i w lepszym nastroju zabrał się do pracy.

Wracał do domu plantami, zatrzymując się po drodze przy grupkach dzieci, karmiących wiewiórkę. To była oddawna jego jedyna rozrywka; przed obcięciem pensji sam zwykle kupował orzeszki dla milutkich zwierzątek, teraz i na to nie mógł sobie pozwolić.

Wyjątkowo nie spóźnił się wcale i zaraz zasiadł z swym współlokatorem do skrupulatnego obiadku, jak przystoi urzędnikowi dwucyfrowej rangi. Z Tadkiem Kiełczem łączyła go serdeczna przyjaźń od najmłodszych lat. Razem chodzili do szkół powszechnych i do gimnazjum na prowincji, razem kończyli prawo w Krakowie, pędząc ubogi, lecz wesoły żywot akademicki, wspomagani przez stypendja i rodzinę. Wreszcie obaj otrzymali dyplomy i Tadek ulokował się w sądzie, gdzie po trzyletniej darmowej aplikanturze dostał wkońcu skromniutką pensję, podczas kiedy Stefan zrobił podobną karjerę w podatkach. Zawsze razem mieszkali i obecnie od roku odnajmują mały pokoik „z wiktem i opierunkiem" za umiarkowaną cenę od emerytowanej nauczycielki. Tadkowi powodziło się o tyle lepiej, że dorabiał do marnych poborów przepisywaniem na maszynie różnych skryptów i prac swoich kolegów. Wogóle był bardziej skromny od Stefana, którego uważał za niepoprawnego romantyka i nawet praca w sądzie nie odebrała mu żywiołowego temperamentu, który zawsze potrafił pokrzepić Stefana w ciężkich chwilach.

— Ogólno się Stefek! — Będziemy mieli mnóstwo gości wieczorem — oznajmił wesoło Tadek. — Rozruszasz się trochę, dość tych klasztornych nastrojów!

— Gości, tutaj? Żartujesz chyba, przecież nikt się tu nie zmieści.

— To się pokaże. Wyniesiemy łóżka do kuchni i miejsca będzie aż nadto.

— Cóż to za uroczystość właściwie? Dostałeś podwyżkę?

— To byłby cud, ale dziś cudów niema.

Ponad miljard złotych wkładów.

Warszawa, w styczniu.

W dniu 22 b. m. w Centrali P. K. O. odbyła się pod przewodnictwem prezesa Grubera konferencja prasowa. Charakteryzując działalność P. K. O. w r. 1937, prezes dr. Gruber podkreślił na wstępie doniosłej wagi fakt, że kapitały wkładowe wzrosły w roku sprawozdawczym o 144.5 miljona zł. i

przekroczyły miljard złotych,

osiągając 1.037.3 miljona zł. Tak pokaźna suma wkładów stawia P. K. O. na pierwszem miejscu wśród instytucyj finansowych w Polsce.

W dziale oszczędnościowym czysty przyrost wkładów w roku 1937 osiągnął nienotowaną dotychczas sumę 120.9 miljona zł. W związku z tem ogólny stan wkładów wzrósł w roku sprawozdawczym do sumy 781.1 miljona zł. Również ilość książeczek oszczędnościowych wzrosła o 636.439 do ogólnej liczby 2.919.747 książeczek.

Przeciętny miesięczny przyrost wkładów wynosi ponad 10 miljonów zł., a liczba książeczek zwiększyła się równolegle przeciętnie o 53.000 książeczek miesięcznie.

Oto bowiem liczba książeczek w okresie 10-ciu lat wzrosła szesnastokrotnie, a

suma wkładów oszczędnościowych urosła dwunastokrotnie.

Mianowicie jedna książeczka P. K. O. przypada obecnie na 12 mieszkańców, podczas gdy jeszcze 10 lat temu jedna książeczka przypadała na 162 mieszkańców.

W innym dziale pracy P. K. O., a mianowicie w obrocie czekowym, globalna suma obrotów wzrosła w porównaniu z rokiem ubiegłym o przeszło 4.7 miljarda zł., osiągając w roku sprawozdawczym również

nienotowaną dotąd sumę 32.7 miljarda zł.

Dodajmy, że obroty na rachunkach czekowych wzrosły w ostatnim 10-leciu z 16 do 32.7 miljarda zł., a więc o przeszło 100 proc. Ogólny obrót wyniósł 34.5 miljarda zł.

Jednocześnie ze wzrostem obrotów, zwiększyła się znacznie ilość operacyj czekowych w P. K. O., wynosząc w r. 1937 51.7 miljona (o 4.5 miljona operacyj więcej, niż w roku 1936). Stan wkładów na 74.908 rachunkach czekowych na dzień 31 grudnia 1937 r. wynosił 255.6 miljona zł., a więc w porównaniu z końcowym stanem z roku 1936, wzrósł o 23.6 miljona zł.

Za objaw nader dodatni należy uważać fakt szerokiego zastosowania we wzajemnych rozrachunkach pieniężnych obrotu bezgotówkowego, na który z ogólnej kwoty obrotu czekowego 32.7 miljarda zł. przypadło 24.7 miljarda zł., czyli 76 proc., gdy na obrót gotówkowy przypadło 8 miljardów zł.

Dynamika rozwojowa działu ubezpieczeń na życie wykazuje wzrost

zarówno liczby polis, jak i sumy ubezpieczenia: liczba czynnych polis wzrosła o 10.958, wynosząc na ultimo roku sprawozdawczego 136.018, a suma, na którą zostały zawarte ubezpieczenia, wzrosła o 16.5 miljona zł., wynosząc 200.2 miljona zł. Wskazuje to wyraźnie, że ten typ ubezpieczeń najlepiej odpowiada możliwościom finansowym naszej ludności.

Rozwój działalności P. K. O. dał się zaobserwować również w grupie interesów komisowych, gdzie zanotowano wzrost zleceń. W dziale przekazów zagranicznych wykonano 231.753 zlecenia na sumę 47.3 miljona zł. W porównaniu z r. 1936 liczba zleceń wzrosła o 50.541, suma zaś — o 728 tysięcy złotych.

Dział dewizowy załatwił 4.840 wniosków, zatwierdzonych przez Komisję Dewizową oraz 2.221 wniosków we własnym zakresie.

W dziale depozytowym znajdowało się w końcu roku i Oddziałach, przyjęto 652.478 weksli (o 227.883 więcej niż w r. 1936) na sumę 91 miljonów zł. (wzrost w porównaniu z r. 1936 o 29.5 miljona zł.). W szczególności znacznie rozwinął się dział inkasa weksli w Oddziale Łodzi, co pozostaje w związku z zaprowadzeniem w końcu 1936 r. pełnego obrotu czekowego w tym dziale.

W dziale zleceń giełdowych wykonano 10.254 zlecenia zakupu i sprzedaży papierów wartościowych i dywidendowych na łączną sumę 25.7 miljona zł., co w porównaniu z r. 1936 stanowi wzrost w ogólnym obrocie papierami procentowemi na giełdzie warszawskiej wynosił 23.6%.

W związku z

z konwersją państwowych pożyczek

wewnętrznych na 4% Pożyczkę Konsolidacyjną P. K. O. wymieniła do 14 lipca 1937 r. na obligacje tej pożyczki dawne papiery na zł. 117.750.400.—.

W dziale depozytowym znajdowało się w końcu roku sprawozdawczego 7.783 sztuki depozytów wartości 142.4 miljona zł. Są to walory notowane na polskich giełdach.

Wreszcie Bank Polski Kasa Opieki, posiadająca cztery główne placówki zagraniczne (Paryż, Tel-Aviw, Buenos-Aires i Wydział Przekazowy przy Linji Gdynia—Ameryka oraz New York) i 28 ekspozytur i agencyj, a roztaczający opiekę nad oszczędnościami i interesami finansowemi naszej emigracji, zgromadził na koniec 1937 r. 34 miljony zł. Ogólny obrót Banku P. K. O. z jego placówkami zagranicznemi osiągnął około 900 miljonów zł.

Z powyższych cyfr wynika, że P. K. O. jest dziś

największą w Polsce instytucją oszczędnościową, największym ośrodkiem kapitałów.

Kapitały te stanowią podstawę do udzielania kredytów. Kredytów tych udziela P.K.O. na wielkie zamierzenia natury ogólnogospodarczej, stwarzające równocześnie tą drogą realną platformę rentownej pracy dla tysięcy średnich i drobnych przedsiębiorstw. W konsekwencji akcja kredytowa P. K. O. stwarza najodpowiedniejsze warunki dla

regeneracji rynku kredytu długoterminowego.

Zaletą akcji kredytowej P. K. O. jest jeszcze to, że wykazuje ona niesłabnący wzrost. W okresie kryzysu akcja kredytowa P. K. O. łagodziła w znacznym stopniu dający się odczuć głód na kredyty długoterminowe — inwestycyjne, w okresie zaś ożywienia, które obecnie przeżywamy, akcja kredytowa P. K. O.

spełnia rolę jednego z najważniejszych bodźców konjunktury zwyżkowej.

P. K. O. nie ogranicza się do finansowania swym kredytem jednej dziedziny życia gospodarczego, lecz obejmuje różne jego gałęzie. Naprzykład na inwestycje, przeprowadzone przez miasta i gminy, w rodzaju budowy elektrowni, gazowni i innych zakładów użyteczności publicznej, podnoszących zdrowotność ludności i zaopatrujących warsztaty pracy w siłę napędową, P. K. O. udzieliła około 259 miljonów zł. Na budownictwo wszelkiego rodzaju

P. K. O. udzieliła około 25 miljonów zł.

przyczyniając się tem samem do ożywienia tych warsztatów pracy, które są związane z budownictwem oraz stwarzając warunki pracy dla licznych rzesz świata pracy. Na rolnictwo P. F. O. udzieliła przeszło 200 miljonów zł., a na rozbudowę sieci komunikacyjnej 113 miljonów zł., przyczyniając się do pomyślnego rozwoju motoryzacji w Polsce.

Ogólna suma kredytów, udzielonych przez P. K. O. w różnych formach, wynosi na koniec 1937 r. 984 miljony złotych.

Pogotowie kasowe

utrzymywane było — podobnie jak w latach ubiegłych — na wysokim poziomie, wynosząc 222.8 miljona zł (21.5 proc. powierzonych instytucji kapitałów).

Reasumując wyniki działalności P. K. O. w r. 1937, stwierdzić należy dalszy jej rozwój we wszystkich działach pracy dla dobra gospodarstwa narodowego Rzplitej.

Po dyskusji przedstawiciele prasy składali gratulacje Panu Prezesowi Dr. Henrykowi Gruberowi z racji jego dziesięcioletniej pracy w P. K. O.

Między innymi przemawiali: imieniem Zw. Dziennikarzy p. red. Giełżyński oraz ks. prałat Kaczyński imieniem K.A.P i red. Mrozowski im. wydawnictwa „Kurjer Warszawski".

Poprostu do spółki z pięcioma kolegami wygraliśmy na loterji prawie miljon złotych — opowiadał spokojnym tonem Tadek.

— Ile? Miljon złotych!! — Stefana aż podrzuciło do góry.

— Mówię przecież, że prawie miljon. Na każdego wypadło po czterysta złotych. Pomyśl tylko czterysta złotych! Oczywiście urządzamy małą bibkę, akurat tak się składa, że nasza buda jest jeszcze najmożliwsza.

Stanowczo ten dzień był pełen niezwykłych wydarzeń, a przecież daleko mu było jeszcze do końca. Stefan opowiedział przyjacielowi o uroczem zjawisku w urzędzie i zwierzył mu się z zamiaru odniesienia tygodnika.

— Nie bądź samolubem. Przeczytałeś sam, daj teraz mnie.

Nie zważając na sprzeciw Stefana, rozciął kartki i zagłębił się w oglądanie ilustracji. Wkrótce i jemu wpadło w oko ogłoszenie konkursu na nowelę.

— Słuchajno ty literacie domowego chowu! Możnaby coś zarobić. Tysiąc złociszów, niezła forsa na naszą biedę.

— Już widziałem, ale nawet niema kiedy pisać. Zresztą co napisać? Gdzie ja mam teraz głowę do pisania, od trzech miesięcy nie napisałem głupiego listu do domu.

— Głupi list co innego, a głupia nowela może wziąć pierwszą nagrodę — przekonywał Kielcz. Jeżeli nie dostaniesz nagrody, to i tak kiedyś potem wydrukują i jakaś forsa kapnie.

— Łatwo powiedzieć, napisać trudniej. Niema o czem gadać, wiem dobrze, że nic z tego nie będzie. Pożycz lepiej jaki możliwy krawat, w tym już nie można się pokazać nikomu.

— Weź ten w paski, jeszcze nowy. Ale napisz nowelę. Przepiszę ci na maszynie gratis, pismo maszynowe to duży plus w redakcjach. Połowę artykułów rzucają do kosza tylko dlatego, że nikt nie może ich przeczytać.

Namawiał Stefana tak długo, aż wkońcu wymógł na nim obietnicę rozpoczęcia szkicu nowelki, którą opracują do spółki. Potem Tadek zabrał się do porządkowania pokoju, a Stefan ogoliwszy się i złożywszy z rozmaitych garniturów jeden, zdaniem jego „prawie elegancki", zwinął w rulon tygodnik, schował do płaszcza i wyszedł, obiecując przyjacielowi, że powróci przed ósmą.

— — — — — — — — —

— Owszem jest w domu! — jak godność?

— Magister Toniewicz, ale panna Galińska mnie nie zna. Proszę powiedzieć, że z urzędu podatkowego — niepewnym głosem mówił Stefan i już miał ochotę oddać tygodnik i uciekać, ale służąca tymczasem odeszła i za chwilę słyszał, jak nawołuje po całem mieszkaniu:

— Panno Zosiu! Znowu ktoś przyszedł za temi podatkami — i z trwogą usłyszał znajomy głos: ...niesłychane! Do mieszkania? Niech poczeka, zaraz przyjdę.

Stefan poczuł się teraz „stroną" i to najlichszą z pośród wszelkich możliwych stron na świecie. Czemuż nie wrzucił tego pisma do skrzynki? Mnąc nerwowo kapelusz, spacerował w przedpokoju, ponieważ służąca mająca widocznie w pogardzie wszystkich urzędników z urzędu podatkowego, nie pojawiła się, aby go poprosić do pokoju.

— Pan do mnie? — usłyszał nagle tuż za sobą i odwrócił się. — Ach to pan! Proszę niechże pan wejdzie do pokoju. Skąd pan się tu wziął? Jak mnie pan wogóle odnalazł?

Stefan stał jak skazaniec, dopiero spostrzegłszy, że gospodyni wyciąga rękę na przywitanie, sięgnął odruchowo do kieszeni palta, wyciągnął rulon... i podał go właścicielce.

— Cóż to jest? — rozwinęła papier i wybuchła wesołym śmiechem, a Stefan zaczerwienił się po uszy, jak sztubak, który wręcza wybranej swego serca czułe wiersze.

— Serdecznie panu dziękuję, zawsze czegoś zapominam, taka gapa ze mnie. Niechże pan usiądzie na chwilę.

Stefan dużym wysiłkiem woli opamiętał się i grzecznie się przedstawił, poczem opowiedział, jak znalazł zgubę i przeprosił za rozcięcie numeru, co mu właścicielka oczywiście natychmiast wybaczyła.

Panna Zofja wyglądała w gustownym jedwabnym szlafroczku prześlicznie. Wizyta Stefana wyrwała ją z drzemki popołudniowej i wiało jeszcze od niej ciepłem snu, zaś jasne włosy w żaden sposób nie chciały utrzymać ładu i ustawicznie jakiś figlarny loczek spadał z czoła na uśmiechniętą twarzyczkę. Stefan był zupełnie oczarowany jej uprzejmością i po kilku minutach romowy wydała mu się tak bliską, jakgdyby się znali od dzieciństwa. Dowiedział się, że jest urzędniczką prywatną, że jej się nieźle powodzi, ale musi część zarobku odsyłać rodzinie na wieś, że lubi sporty i jeździ na narty do Zakopanego, a w lecie kajakiem po Wiśle. Oczywiście chętnie tańczy i jeżeli pan Stefan miałby kiedy ochotę, to bardzo chętnie. Opowiedziała Stefanowi tysiące miłych, zajmujących rzeczy i zkolei wypytywała Stefana o jego zainteresowania. Ze wstydem stwierdził, że mało zajmującem jest jego obecne życie i aby wydać się bardziej interesującym, zaczął zmyślać niestworzone historje, malując swój żywot wręcz w innych barwach, niż się naprawdę przedstawiał. Zręcznie przeplatał swe stare przeżycia z czasów harcerskich, epizodami zaczerpniętemi z powieści Londona i wreszcie doszedł do przekonania, iż przeżył naprawdę przygody, o których dawniej marzył, a które odleciały w nieznaną dal, od kiedy zasiadł na swym urzędniczym tronie.

Ani się spostrzegł, kiedy minęło półtorej godziny.

— Panie Stefanie, wypije pan herbatę ze mną? Wie pan, ja wybieram się z koleżankami do teatru. Proszę przejść na chwilkę do jadalni, przyjdę tam za trzy minutki! — prosiła nowa znajoma.

Nie potrafił odmówić. Herbatka okazała się właściwie skromną kolacyjką i zaproponował, że ją odprowadzi do teatru, na co chętnie przystała. Ponieważ zaś do zamówionej loży nie przybyła jedna z koleżanek, więc Stefan nie odrzucił zaproszenia do teatru.

Pochłonięty bliskością panny Zosi i jej koleżanek, zapomniał o gościach Tadka, a nawet niebardzo dobrze orjentował się w treści sztuki na scenie, wpatrzony w piękny profil swej sąsiadki...

A kiedy po przedstawieniu odprowadził towarzyszkę na Karmelicką, był w nastroju tak błogim, że niesposób go opisać. Wystarczy powiedzieć, że zapomniał o istnieniu urzędu podatkowego.

Właśnie biła godzina dwunasta, kiedy otwierał bramę domu.

— — — — — — — — —

„Ja na loterji grałem".

„I główny los wygrałem! 0-0-0.0-0-0!" — naśladował jeden z „zagazowanych" gości chór Dana. Dym papierosów i opary alkoholu czyniły atmosferę gęstą i gorącą, jak w łaźni parowej.

— Te, Tadek! — wrzasnął jeden z gości. — Przyszedł jakiś nowy! Może to egzekutor? Bo do mnie co drugi dzień przyłazi. Panie Iad..! Chodź pan tu, zajmij pan te pusta butelkę — zwrócił się do Stefana.

— Steeeefek, Stefek — jęczał Tadek żałośliwie. To o tej porze się przychodzi, jak goście czekają od ósmej?

— Przykro mi bardzo....

— Nie bujaj tylko, że ci przykro. — Sprzeciwił się kategorycznie Tadek, napróżno usiłując uspokoić chwiejącą się głowę. — Jeszcze nikomu nie było przykro, kto spędził czas z ładną kobietą. Panowie miljonerzy! To jest właśnie Toniewicz, dyrektor urzędu skarbowego i słynny pisarz romantyczny! Niech żyje!!!

— Niech żyje!!! — darli się świeżo upieczeni plutokraci, podnosząc wgórę kieliszki. Sto lat. Sto lat!!!

— Dać mu duży kieliszek! Niech nas dogoni! — zadecydował jeden. — No, panie kolego. Najlepszego!!

— Najlepiej niech z każdym wypije „brudzia" z dużego kieliszka. — Wpadł na genjalny pomysł Tadek, który wiedział, jak słabą głowę ma Stefan.

— Słusznie! Dalej, po alfabecie! Antek pierwszy...

Zanim doszli do Zbyszka, Stefanowi pokój wirował jak karuzela i usiadł na ziemi, chcąc złapać jedno z krzeseł i podeprzeć nim ścianę, pochylającą się wyraźnie w jego kierunku.

Nawet nie wiedział, kiedy wszyscy goście odeszli i dopiero głośne chrapanie Tadka, który chrapał w ubraniu na kanapce, przywiodło mu na myśl możliwość położenia się do łóżka. Niestety nie mógł znaleźć żadnego łóżka i po namyśle doszedł do wniosku, że widocznie ich łóżka zajął i sprzedał egzekutor za zaległe podatki.

— Tyle zaległości — kombinował mętnie — sam przecież widziałem upomnienie. Szpitalna siedemnaście, drzwi osiemnaście. Co za dranie w tych podatkach.... Łóżka posprzedawać, widział kto takie świństwo. Musimy z Tadkiem stąd wyjechać gdzieś, gdzie niema urzędów, ani podatków... Ale kto nam będzie pensje płacił?.... Sami będziemy sobie płacić. Tadek mnie, a ja Tadkowi. I Zosię zabierzemy. I Głupiego Jakóba też, taki był fajny... Eeee, przecież to teatr! A Zosia teatr, czy nie teatr? Nie, Zosia to okładka tygodnika. Taka ładna i kolorowa. Szkoda, że z papieru, możebym się jej oświadczył..

— Psiakrew, Tadek ma szczęście, wygrał miljon i nie pójdzie już do sądu. A ja... — rozpłakał się nad swoją niedolą, ale pokrzepił się keliszkiem koniaku i zaraz mu wrócił bohaterski światopogląd.

— A co tam było po drugiej stronie tej, no Zosi? Tam leżała jakaś forsa, gruba forsa. Za nowinę, nie za nowinę, tylko za nowelę, za nowelę, za nowelę, ale niewiadomo do czego. Pewnie do ustawy o przeszeregowaniu, to będzie ładna nowela, nowela... no-we-la-no-we-la.... — skandował powoli i z dalekiej podświadomości z trudem przebijała się w kierunku osłabionej świadomości jakaś idea. Strącana zpowrotem alkoholem w otchłań niebytu, powracała uporczywie i szturmowała do zamkniętych bram rozsądku i woli pijanego Stefana Toniewicza, magistra praw, urzędnika państwowego dwucyfrowej kategorji...

NO-WE-LA! — powtórzył znowu i wreszcie opierając się o ścianę, dotarł do chrapiącego Tadka i potrząsnął nim silnie: TA-DEK! NO-WE-LA! — próbował go obudzić przez kilka minut bez skutku. Tadek spał jak zabity, spał jeszcze, kiedy Stefan z niesłychanym wysiłkiem podniósł go i posadził na krześle w samym rogu pokoju, aby nie mógł się przewrócić i przyciągnął przed niego maszynę do pisania.

Te wszystkie przygotowania nie miały żadnego skutku, poza tem, że z chrapania przeszedł Tadek na miarowe pomrukiwanie i melodyjne jęczenie. Dopiero kiedy bezradny Stefan, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, nagle, z całej siły grzmotnął przyjaciela kułakiem w brodę. Tadek podniósł powieki, spojrzał błędnym wzrokiem na maszynę, stojącą przed nim, wyprostował się na krześle, położył ręce na czarnych klawiszach maszyny i nie widząc wcale Stefana, odezwał się ochrypłym, matowym głosem: proszę dyktować.

— — — — — — — — —

I znowu papierowy młyn pochłonął Stefana i powoli rozcierał między swemi papierowemi kamieniami młyńskiemi. Ale Stefan już nie poddawał się biernie losowi, nie konał powoli na swem urzędniczem krzesełku.

Ciąg dalszy na str. 18-tej.



FRANCES DEE
artystka amerykańskiego filmu

ZAZDROŚĆ

Gdy tańczył ze mną, mówił mi,
żem kwiatem jego jest marzenia,
że o mnie, o mnie właśnie śnił
i w szczęście życie mu zamieniam.

A potem nagle weszła ona —
w srebrzystej lamie piękność śmiała..
i ma sukienka markizetowa
zgasła — i miłość się rozwiała...

Zdawkowy wybieg, pusty uśmiech —
i odszedł do niej... Pozostałam
w marzeń zgaszonych szarym półśnie...
Zwiędła w mej dłoni róża biała...

I teraz tylko o tem myślę,
czy wróci kiedyś jeszcze do mnie
i czekam, czekam na to przyjście
i nadaremnie chcę zapomnieć...

Wyspa św. Patryka



Gdy starym zwyczajem w Dublinie, stolicy Irlandji, dzwony katedry św. Patryka wydzwaniały początek roku 1938, musiał tym razem spiżowy ich głos brzmieć dla irlandzkiego ucha bardziej radośnie, bardziej uroczyście, niż zwykle. Ogłaszały one bowiem nietylko początek roku. lecz także narodziny „suwerennego, niezależnego, demokratycznego Państwa Irlandzkiego".

29 grudnia weszła w życie nowa konstytucja, która ustanawia republikę irlandzką z wybieralnym prezydentem, znosi dotychczasowy podział wyspy, przyznaje Kościołowi katolickiemu pełnię praw, a w stosunku do Anglji ogłasza całkowitą niezależność.

Wiadomość ta wzbudziła niemałą sensację i na chwilę skupiła na tem najmłodszem państwie Europy — zwanem odtąd po galicku Eir — uwagę całego świata.

Państwowe elementy, które stanowią o odrębności narodu, to kultura, język i rasa. Odrębność i swoistość tych trzech czynników była i w tym wypadku, odkąd w r. 1171 król angielski Henryk II zawładnął Irlandją, tym czynnikiem, który podsycał fanatyczną dumę narodową jej mieszkańców do nieustannej, ofiarnej walki o wolność.

Nic więc dziwnego, że Irlandja z taką pieczołowitością podtrzymuje i rozwija wszystko, co świadczy o jej odrębności kulturalnej i rasowej. Odkąd w r. 1922 wojska angielskie opuściły „zieloną wyspę św. Patryka", czyni ona wszystko, by rozbudować swe własne formy życia, oparte na pierwotnej jej celtyckiej kulturze.

Dla nas stolicą Irlandji jest Dublin — ale daremnieby szukać tego napisu np. na dworcu w Dublinie. Zamiast niego widać inny napis: Baile Athe Clath. Tak bowiem nazywa się Dublin w języku gelickim, narodowym języku Irlandji. Czyni się wszystko, by język ten stał się powszechnym, by zbudzić go do nowego bujnego życia. Jest to zadanie nie łatwe, zważywszy, że niedawno jeszcze w całej Irlandji obowiązywał język angielski, który wyparł prawie że całkowicie pierwotną mowę rodzimą. Jedynie w odległych zakątkach zachodnich zachowała się mowa galicko-celtyckich przodków, jako żywy język życia codziennego. Dziś już w Dublinie wszystkie nazwy ulic, wszystkie napisy na gmachach publicznych, nawet na rozmównicach telefonicznych są w języku galickim. W szkołach naucza się go jeszcze obok angielskiego, lecz już w niedługim czasie ma on całkowicie zastąpić język angielski. Ludność ubogich, zachodnich okręgów, wśród której najczyściej przechowały się mowa i obyczaje dawne, otrzymuje odpowiednie fundusze na budowę higjenicznych mieszkań. Na nią to spogląda dziś cały kraj. Owe nienaruszone w swej pierwotności, ostatnie żywe łączniki z przeszłością, są dziś ważnem podłożem narodowej odrębności irlandzkiej. Próbowano nawet przenieść całe wsie z zachodu do wschodnich prowincyj, lecz pozostały one w nowem otoczeniu izolowane. Nie rozumieją swego nowego otoczenia, które znów ich nie rozumie. Czołowe gazety irlandzkie wychodzą wprawdzie jeszcze po angielsku, lecz każda z nich ma już swój stały dodatek galicki, którego celtyckie litery są podobne do starogreckich.

Ta dążność do nadania wszystkim formom życia publicznego narodowej odręb-

Powyżej: Herb niezawisłego państwa Irlandzkiego.



Malownicza autostrada w górach Kerry.



Podobnie jak Szkocja i Irlandja posiada malowniczo ubranych kobziarzy, przygrywających przy uroczystościach wojskowych.



Opatrznościowy mąż Irlandji — de Valera (x), przewodniczy na 68 sesji Rady Ligi Narodów w 1932 r.

ności, przejawia się nietylko w mowie i piśmiennictwie. Pieniądz, znaczki, budownictwo, obchody, wszystko nosi swoiste, narodowe cechy. Armja, składająca się przeważnie z dawnych prześladowanych i ściganych powstańców i rebeljantów, nosi na naramiennikach, zamiast gwiazdek, małe czworokątne płytki bronzowe, ze stylizowanemi, celtyckiemi ornamentami ludowemi. Malowniczo przybrani kobziarze armji, którzy strojem swoim przypominają nieco szkockich kobziarzy, noszą na prawej piersi pozłacane odznaki metalowe, wielkości talerza, będące dokładnemi kopjami wzorów, znajdujących się w Muzeum Narodowem w Dublinie. Na każdej czapce żołnierskiej widać litery FF (Fiana Fall, żołnierze przeznaczenia), a na każdym guziku munduru błyszczy godło państwa, złota harfa na niebieskiem tle.

Terytorjum państwa irlandzkiego składa się, w myśl nowej konstytucji, z całej wyspy Irlandji wraz z przynależnemi wyspami i wodami terytorjalnemi. Nie jest tego dużo, i pod względem obszaru Eir należy do rzędu najmniejszych państw w Europie. Wystarczy jednakże, by wyżywić 3-miljonową ludność, składającą się przeważnie z rolników. Irlandję nazwano „zieloną wyspą" i jeśli chodzi o jej część wschodnią i południową, nazwa ta jest zrozumiałą. Kraj podobny to do jednego, wspaniale pielęgnowanego, bujnego ogrodu. Dzięki błogosławionym skutkom golfsztromu panuje tu — mimo znacznej północnej szerokości geograficznej, stały, wilgotny i ciepły klimat tak, że rosną tu nawet palmy i inne rośliny podzwrotnikowe.

Lecz już zachodnia część wyspy nosi nieco inny charakter. Wzdłuż dróg ciągną się wysokie mury kamiene, budowane nie dla jakichś istotnych potrzeb, lecz poprostu dlatego, by podzieć gdzieś te kamienie, które masami zbiera się z pól. Osioł jest tu najważniejszym środkiem lokomocji dla ludności przeważnie wiejskiej. Po kamienistych drogach turkocą dwukołowe, drewniane wózki chłopskie, ciągnione przez włochate osły. Tu też najwyraźniej objawia się słabość irlandczyka do ruin. Gdy jakiś dom opuszczą jego mieszkańcy, pozostawia się go tak, jak stał, aż ściany jego się rozkruszą i trawą porosną. Irlandczycy kochają swą przeszłość, swą bohaterską historję. Ta dzika romantyczność wydaje się często aż przesadną obcemu przybyszowi, który w przejeździe spotyka co krok masę ruin wśród zieleni drzew. W mieście portowem Galway, na zachodniem wybrzeżu, współczesne kino, zbudowane według najnowszych wzorów, stoi tuż obok mchem obrośniętej ruiny, do której z drugiej strony przytyka nowy, wielki dom czynszowy. Na rynku tego miasta magistrat ze zburzonego domu „zacnego obywatela Martina Browna" uczynił wejście do parku miejskiego. Obok kościółka, gdzie podobno Kolumb modlił się przed swą wyprawą amerykańsgą, można podziwiać ruiny starego zamku, a pod kamienną futryną jednego z okien widać bluszczem obrośniętą tablicę z napisem: „Tablicę tę wmurowano ku pamięci bezwzględnej i twardej sprawiedliwości rajcy magistrackiego tego miasta, Jamesa Lyncha Fitzstephena, wybranego w r. 1493 burmistrzem, który tu swego własnego winnego kary śmierci, syna Waltera powiesił własnoręcznie na krzyżu okiennym".

Granice państwa Irlandzkiego sięgają jeszcze dalej na zachód i obejmują także kilka małych, skalistych wysepek, wśród których najbardziej może znane są wyspy Aran, a to dzięki doskonałemu filmowi „Man of Aran", który w Anglji i Ameryce rozsławił nazwę tych wysp. Film ten, to epopea garstki ludzi, streszczająca się w ich walce bohaterskiej ze skałą i morzem, walce, dzięki której udało się z jałowej skały stworzyć urodzajną ziemię.



Rokrocznie ulicami Dublina przechodzi barwny pochód, urządzany na cele dobroczynne.

Ludność tych wysp trudniła się dawniej rybołóstwem. Gdy jednakże łowienie ryb na Atlantyku zostało uprzemysłowione, biedni Arańczycy ze swojemi łodziami nie mogli konkurować z flotylami rybackiemi bogatych trustów. Rybacy musieli się zabrać do uprawy roli i stali się rolnikami na — skale.

Nie można było czekać, aż wapienna skała ich wyspy zamieni się sama z biegiem czasu na urodzajną glebę. Pustynię skalną rozdzielono więc pomiędzy rodziny. Od wczesnego rana aż do późnej nocy, dzień w dzień, rozbijano olbrzymie bloki skalne. Mężczyźni, kobiety i dzieci z koszami, taczkami lub wózkami z oślim zaprzęgiem, udawali się w czasie odpływu morza na mielizny, zbierali piasek i zwozili go na swe działki. Ze szczelin skalnych, tak wąskich, że z trudem tylko mógł się w nich pomieścić człowiek, wydobywali gołemi dłońmi tę trochę ziemi, jaka tu się nagromadziła, zbierali do koszów i znosili na swe pola, aż wreszcie rosły na polach ziemniaki i pasły się krowy na zielonych łąkach.

Krajobraz tych wysp, to wynik tej twardej walki z przyrodą. Setki małych pól dzielą zwały skalnych rumowisk poszczególne posiadłości. Niektóre z nich toną w soczystej zieleni, pasie się na nich koń, tłusta krowa, lub kilka owiec. Inne znów są wprawdzie zielone, lecz olbrzymie czuby skalne sterczą ku niebu, których mimo wszelkiego wysiłku nie można było zrownać. Czem bliżej skalne grzbiety tych wysp, tem dzikszym staje się krajobraz. Nie widać już krów ni owiec, tylko kozy skaczą po skałach, skubiąc chudą i rzadką trawę. Od grzbietu wysp aż ku morzu teren nie jest już rozparcelowany, gdyż skała nie tworzy tu równej powierzchni. Potężne bloki skalne leżą bezładnie, gęsto jeden obok drugiego, ku morzu, aż wreszcie giną w wiecznie tu wzburzonym, dziko się pieniącym Atlantyku.

Trzy miljony mieszkańców, zaludniających państwo św. Patryka, to tylko piąta część wszystkich Irlandczyków. Reszta z nich jest rozproszoną po całym świecie. Szczególnie Stany Zjednoczone stały się jakby drugą ojczyzną Irlandczyka. Na „zielonej wyspie" niema chyba człowieka, któryby nie miał krewnego w Ameryce. Wielkie towarzystwa okrętowe mają tu swe agencje nawet w najmniejszej mieścinie. Na wsiach zaś funkcje tych agentów pełni zwykle miejscowy kupiec spożywczy. Na małych, biało tynkowanych domkach z gliny widnieją duże afisze z drapaczami chmur, olbrzymiemi statkami transatlantyckiemi. Jakżeby mógł się oprzeć takim obietnicom młody człowiek, pełen fantazji i przedsiębiorczości? To też niejeden syn chłopski z „zielonej wyspy" pakował swój tobołek i jechał do wielkiej, bajecznej Ameryki po szczęście. Większość tych emigrantów irlandzkich zasila w Nowym Jorku szeregi — policji! Policja nowojorska to przeważnie Irlandczycy, tak dalece, że Irlandczyk, to poprostu synonim policjanta.

Corocznie, w dzień św. Patryka, narodowego patrona Irlandji, jednoczą się myśli wszystkich emigrantów irlandzkich we wspomnieniu swej ojczyzny. W dniu tym na klapach marynarek i uniformach zarówno urzędnika w Dublinie, chłopa irlandzkiego, rybaka na skalistem wybrzeżu, jak i policjanta w Nowym Jorku, konduktora w Filadelfji, listonosza w Chicago, pojawia się „zielona koniczyna", narodowy kwiat Irlandji. Ci, którzy pozostali w ojczyźnie, wysyłają swoim krewnym małe woreczki ziemi ojczystej, nasion koniczyny lub kartki z listkiem koniczyny. Powrót tych krewnych do ojczyzny, to przeważnie dzień radości i triumfu. Do wsi przyjeżdżają oni z podwójną, grubą, złotą dewizką, do miast z pół tuzinem olbrzymich waliz podróżnych.

Wśród pól, łąk i lasów Irlandji spotyka się często okrągłe, strzeliste wieże kamienne. Stały się one symbolami tej wyspy i należą do jego krajobrazu jako coś nieodłącznego. Są to pradawne wieże obronne i skarbce mnichów z pierwszych wieków chrześcijaństwa W nich to szukali oni ochrony w czasach, gdy pogańscy Duńczycy rozciągnęli swe najazdy także i na tę wyspę. Staroceltyckie krzyże małych cmentarzy otaczają wieżyce — świadków wczesno-chrześcijańskiego budownictwa. Ruiny klasztorów i kościołów, ukryte w zielonym gąszczu lasów liściastych, opowiadają o wczesnochrześcijańskim okresie świetności Irlandji, która w I wieku była jedną z najważniejszych ostoi nowej religji. Jej mnisi byli przecież pierwszymi głosicielami nowej nauki Chrystusowej w ówczesnej Europie. Oni to słynęli jako najlepsi przepisywacze biblji, jako najlepsi mistrze trudnej sztuki iluminowania rękopisów. Dziś spoczywają one troskliwie chronione, w Muzeum Narodowem w Dublinie, stanowiąc jedne z najpiękniejszych i najwspanialszych okazów średniowiecznej sztuki iluminatorskiej. Najsłynniejsza z nich to t. zw. „Księga z Kells", o bezcennej wprost wartości. Codziennie rano wyjmuje ją główny bibljotekarz Trinity College w Dublinie ze stalowego tresoru i umieszcza w witrynie bibljoteki uniwersyteckiej. Nim zamknie szklaną pokrywę, przewraca codziennie jedną stronę książki. Każda poszczególna litera jest tu arcydziełem sztuki, doprowadzonej do najwyższej precyzji. We wszystkich kolorach tęczy, złotem i srebrem, lśni, każda stronica tej średniowiecznej biblji, pisanej ręką jakiegoś anonimowego mnicha irlandzkiego.

Ta kulturalna wyższość tej wyspy i dziś jeszcze nie przeminęła. Jakże inaczej wytłumaczyć sobie, że Irlandja, licząca zaledwie 3 miljony mieszkańców, a więc nawet nie tyle, ile liczy Londyn, dała literaturze angielskiej tyle czołowych osobistości? Tomasz Moore, Oskar Wilde, Bernard Shaw, Liam O'Flaherty, Francis Hackett, oraz drugi z żyjących irlandzkich laureatów Nobla, Yeats, to wszystko synowie „zielonej wyspy.

Uboga ona w ludność, uboga w naturalne skarby, uboga terytorjalnie, lecz zato bogata w wartości kulturalne.

Św. Patryk dobrze patronuje swojej wyspie!

Wiktor M.



Poniżej: Joan Crawford rozdziela autografy swym koleżankom i kolegom, którzy współpracowali z nią w jej ostatnim filmie.

NA FILMOWYM OLIMPIE

Każda epoka miała swoich herosów. Starożytność witała okrzykami radości mistrzów areny i wieńce plotła poetom. Średniowiecze oklaskiwało bardów i trubadurów, ciągnących od zamku do zamku z romansami i odami. W wieku siedemnastym i osiemnastym, w czasach rozkwitu życia dworskiego, sława słała uśmiechy tym, którzy umieli oszołomić pudrowane damy w ciężkich krynolinach i mężczyzn w białych perukach: do modniś i modnisiów, wielkich kochanic i kochanków, do wodzirejów i tancerek.

Wiek dwudziesty należy do aktorów filmowych. Oni zbierają owacje tłumów, im oddaje się przynależne hołdy. Trzeba przyznać, że aktorzy filmowi potrafią o wiele lepiej korzystać z wszystkich darów sławy od swoich poprzedników. Ich wielkość opiewana jest w tysiącach pism w słowie i obrazie, dla nich są wspaniałe limuzyny i pyszne wille, luksusowe jachty i kosztowne kostjumy. Oni sami, dzięki magji współczesnej cywilizacji, są oklaskiwani równocześnie w Tokio i Warszawie, w Filadelfji i Pabjanicach, gwiazdy i gwiazdorzy filmowi, prze...

Atmosfera, którą otoczone są gwiazdy i gwiazdorzy filmowi, prze... skiwani równocześnie ... — to „do...



Na lewo: Korespondencja z wielbicielami talentu — to „do... do sławy filmowej i scenicznej Toli Mankiewicz.

Na prawo: Jedna z najmłodszych gwiazd ekranu, Anne Shirley, ... słuchuje się lekturze recenzyj z jej gry, czytanych przez matkę...



Na prawo: Jedyną artystką filmową, nie wzbudzającą osobistej animozji wśród koleżanek, jest myszka Mickey, ulubienica całego Hollywood.

często być adoracją, staje się czemś wyższem: ubóstwieniem. Takim żywym „bogiem" między miljonami śmiertelnych był Rudolf Valentino. Nietylko kobiety, ale i mężczyźni patrzyli na niego rozmodlonemi oczyma, jak na tego, który zstąpił z obłoków. Kiedy pojawił się na ulicy, obstępowały go tłumy wielbicielek i wielbicieli i wyrywali mu chusteczkę z kieszonki, odcinali krawat, strzępili garnitur, — aby tylko mieć w swem posiadaniu coś, co należało do Valentina. Taki entuzjazm stawał się często niebezpieczny i niejednokrotnie policja musiała użyć siły, aby „nieśmiertelnego" ocalić przed uduszeniem. Kiedy Valentino umarł, mnóstwo kobiet dostało rozstroju nerwowego i trzeba je było umieszczać w sanatorjach. Jego pogrzeb był jedną z największych manifestacyj tego rodzaju, jakie świat widział kiedykolwiek. Mogiła Valentina w Hollywood, choć minęło już 12 lat od jego śmierci, jest zawsze pełna świeżych kwiatów i wieńców z emfatycznemi zapewnieniami. — Fakt, że Valentino zmarł w tak młodym wieku dodał mistycznego wyrazu jego nazwisku. Stał się legendą, żywą w pamięci „miljona wdów", noszących po nim żałobę.

Ale kto jeszcze, prócz gwiazdora filmu, odbierał takie hołdy?

Podróże artystek i artystów — to triumfalne pochody. W ciągu ostatniego roku dworce Paryża, Londynu, Wiednia i innych stolic były świadkami entuzjastycznych manifestacyj, zgotowanych Marlenie Dietrich, Grecie Garbo, Williamowi Powellowi, Robertowi Taylorowi i wielu wielu innym. Jak to wygląda, mogliśmy przekonać się podczas podobnych wizyt, składanych przez asów ekranu w Warszawie. Największą sensacją tego rodzaju była wizyta Mary Pickford i Douglasa Fairbanksa w r. 1924. Za świet...

Dokończenie na str. 18-ej.



Na prawo: Urocza Djana Gibson (po prawej) jako ekspedjentka dobroczynnego bazaru gwiazdkowego, czaruje swym uśmiechem nawet kobiety.



Dokończenie ze str. 17-tej.
ną, nierozwiedzioną wówczas jeszcze parą aktorską, kroczył tłum entuzjastów, szczęśliwych z bezpośredniego kontaktu z ulubieńcami, których znało się dotąd tylko z niematerjalnej wizji ekranowej. Betty Aman, Iwan Mozżuchin, Paul Muni, Wilhelm Dieterle, Harry Liedtke — wszyscy oni przyjmowani byli przez Polaków z gościnnością, znaną im skądinąd, ale zaprawioną jeszcze naszą specyficzną serdecznością.

Naturalnie, szał tłumów osiąga swój zenit, gdy do kraju przybywa rodaczka, która w dalekiem Hollywood zrobiła światową karjerę. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędziła w dalekiej ojczyźnie skandynawskiej Greta Garbo. Poczuła się tu znowu małą, biedną Gretą Gustafson, chociaż na każdym kroku gotowano jej królewskie przyjęcia. Genialna artystka była tak wzruszona, że przelała w radosnym wzruszeniu więcej łez, niż zakwitło uśmiechów na jej wspaniałej twarzy. — Pola Negri, jeszcze ciągle odbierająca hołdy, żywotna i niespożyta, — oświadczyła niedawno w jednym z wywiadów, że marzy o powitaniu w Warszawie, której nie widziała już od bardzo wielu lat.

Trzeba przyznać, że rozbudzanie admiracji jest w wielkiej mierze zasługą koncernów kinematograficznych, których wydziały reklamowe robią wszystko co mogą, aby ich gwiazda była na ustach wszystkich. W tym celu realizuje się najbardziej ekstrawaganckie pomysły. Ostatnio jedna z wytwórni w Hollywood kazała swym młodym, jeszcze pozbawionym nazwisk gwiazdeczkom urzędować za ladami sklepów i sprzedawać klientom towary kolonialne, owoce, bieliznę itd. — Akcja ta trwała od 1-go grudnia przez cały okres przedgwiazdkowy i w biuletynach wydziałów reklamowych oceniona została jako „bardzo pożyteczna...".

Stopień admiracji jest termometrem kasowej wartości danej gwiazdy. Dlatego też wszyscy aktorzy i aktorki z Hollywood, nawet ci, najwyżej umieszczeni na świeczniku, muszą dbać o swoją popularność. Dyrektorzy mają ścisłe sprawdziany tej popularności: Ilość listów (urząd pocztowy w Hollywood rejestruje dokładnie korespondencję), zawierających prośbę o fotos czy autograf, zainteresowanie prasy niezależnej materjałem ilustracyjnym i informacyjnym, frekwencja tłumów przy powitaniach gwiazd — to wszystko określa notowanie waloru danej gwiazdy na giełdzie powodzenia. W kawiarni „Arizona" w Hollywood opowiadają następujący dowcip:

„— Miss Lala Gala, gwiazda „Superior-Film" pyta swego sekretarza o ilość nadesłanych w dniu dzisiejszym listów.

— Ani jeden — odpowiada sekretarz.

— To niemożliwe — woła wzburzona miss Lala Gala — sama przecież wysłałam wczoraj do siebie 120 listów".

Naturalne, to tylko żart, złośliwy żart. Jak każdy żart, zawiera jednak odrobinę prawdy.

Sława ma, z pewnością, swoje ciernie. Do nich należą niewątpliwie — autografy. To prawda, że asy mają swoich sekretarzy, — zajmujących się głównie odpisywaniem na listy wielbicieli i ani list, ani odpowiedź nie przechodzi przez ręce Sylvji Sydney czy Kay Francis. Jednak pewną, wysegregowaną część korespondencji musi adresat czy adresatka załatwić sama — posługiwanie się stampilą i szablonem kalkowym mogłoby wywołać zniechęcenie. To też często bogowie z Hollywood przysiadają fałdów i piszą, piszą, piszą... Niektórzy nawet bardzo sobie chwalą to zajęcie...

W wspomnianej już cafè „Arizona" opowiadają jeszcze jedną zabawną historyjkę:

„— Do Ronalda Colmana, wychodzącego ze swej willi do codziennej pracy w atelier, podchodzi młoda, przystojna pensjonarka i prosi go o autograf.

Mile pochlebiony aktor udziela swego podpisu.

Nazajutrz ta sama pensjonarka zwraca się do Colmana z tą samą prośbą.

Na trzeci, czwarty i piąty dzień powtarza się to samo.

— Poco pani tyle moich autografów? — pyta rozdrażniony nieco aktor.

— Bo, bo — odpowiada panna — moja przyjaciółka obiecała mi autograf Clarka Gable, gdy dam jej pięć pańskich autografów..."

Ronald Colman, amant nieco już podstarzały, gwałtownie zaprzecza autentyczności tej wersji. Co wszystko może zrodzić się w zatrutej zawiścią atmosferze „Arizony"!

Harry Liedtke — a to już nie jest anegdota — dziś już stary i zapomniany, miał okres, gdy nakręcał 20 do 30-tu filmów rocznie i wtedy popularność jego sięgała fantastycznych granic. Chcąc zatamować strumień listów, wyznaczył... taryfę za autografy, — przeznaczając zresztą „zyski" na cele charytatywne. Dziś przypuszczalnie — dopłacałby za przywrócenie dawnej swej popularności.

*

Parafrazując słynny aforyzm Henryka Heinego o kobiecie, mogliby bogowie z Olimpu filmowego powiedzieć o admiracji tłumów: „Z nią jest źle, bez niej jest niedobrze".

J. Leman.

Ciąg dalszy ze str. 12-tej.
Znajomość z Zosią dodała mu ochoty do życia, napełniła go nadzieją na lepszą przyszłość.

Za radą Zosi złożył Stefan w kilku przedsiębiorstwach prywatnych podania o posadę, może jednak przyjmą gdzieś prawnika, zwłaszcza „speca" od spraw podatkowych. Był jaknajlepszej myśli i dzięki temu poprawił się jego wygląd zewnętrzny, tembardziej, że dbał o większą staranność w ubiorze. Spotykał się z panną Zosią prawie codziennie popołudniu. Najczęściej chodzili na dłuższy spacer, rzadziej do kina lub cukierni. W razie niepogody Stefan odwiedzał znajomą, zabierając czasem Tadka i w trójkę gawędzili przy herbatce o wszystkiem i o niczem, snując piękne plany na przyszłość.

— Czemu pan nie spróbuje tego wszystkie go napisać, panie Stefanie? To badzo ciekawe rzeczy.

— O właśnie — podchwycił Tadek. — I nowelę miałeś napisać, nawet nie rozpocząłeś.

— Myślałem o tem, ale naprawdę nie potrafię. Opowiadać łatwo, ale ile razy chcę coś napisać, wszystkie myśli uciekają i nie mogę nic sklecić.

— Co to za nowela? — zaciekawiła się Zosia i przyjaciele opowiedzieli jej pomysł napisania noweli konkursowej do tygodnika, który prenumerowała. Zapaliła się odrazu do tego projektu i następne wieczory poświęcili układaniu jakiejś ciekawej historji, jakiejś fabuły. Ale nic nie wymyślili zajmującego. Piękne napozór zdarzenia wydawały się przy bliższej analizie nudnemi i wyblakłemi Wreszcie doszli do wniosku, że do tworzenia potrzeba natchnienia albo wielkiego talentu.

Pewnego popołudnia otrzymał Stefan odpowiedź od wielkiej firmy handlowej, że może otrzymać posadę po dwumiesięcznej bezpłatnej praktyce, w czasie której musiałby się nauczyć stenografji i pisania na maszynie, oraz obznajomić się z najważniejszemi funkcjami biurowemi, o których w podatkach nie miał naturalnie pojęcia. Praca była lżejsza i bardziej urozmaicona niż dotychczas, a pobory blisko dwa razy wyższe. Propozycja była świetna, ale za co przeżyć dwa miesiące? Żaden z przyjaciół nie miał ani grosza oszczędności, o pożyczeniu nie można nawet marzyć.... Stefan zastrzegł sobie tydzień czasu do namysłu.

Zosi nie powiedział jednak o swych kłopotach: wiedział, że nie potrafi jej odmówić, jeśli zaproponuje mu małą pożyczkę, a nie chciał do tego absolutnie dopuścić.

Tydzień już się kończył, a pieniędzy nie było i Stefan z rozpaczą widział, jak przepada jedyna możliwość poprawy marnego bytu na lepszy...

Ostatniego dnia, w którym miał dać definitywną odpowiedź, szedł ponury i zrezygnowany do urzędu. Wiedział napewno, że pieniędzy znikąd nie dostanie. Przechodząc koło budki z gazetami, zauważył plakaty znanego mu dobrze tygodnika, które donosiły o rozstrzygnięciu konkursu.

— Żebym, psiakrew, napisał był tę nowelę! Gdybym dostał choć dwieście złotych, wystarczyłoby na dwa miesiące!

Kupił pismo i powlókł się ku Kanoniczej. Przekroczył bramę jak więzień, skazany na bezterminowe ciężkie roboty. Za stolikiem zasłonił się wałem z teczek i rozłożywszy numer przed sobą, rozcinał ukradkiem kartki.

Przeczytał o rozstrzygnięciu konkursu: ...pierwszą nagrodę otrzymała jednogłośnie nowela, zatytułowana „Zaczarowany atoll", podpisana godłem „Rumbajbaj". Po otwarciu koperty nastąpiła niespodzianka, ponieważ zamiast nazwiska autora znaleziono dwa drukowane słowa: „Głupi Kuba". Przypuszczalnie autor pragnie nadal pozostać nieznanym. Jeżeli nie zgłosi się w ciągu miesiąca i nie udowodni autorstwa noweli, nagroda zostanie przekazana na fundusz oświatowy...

— Głupie kawały. — Mruknął Stefan pod nosem i zaczął czytać. Spodobała mu się bardzo, było w niej życie o jakiem marzył, słońce i ciepło, morze i wyspy i promienna miłość bohaterów, wyrzuconych na bezludną wyspę koralową. Fabuła prosta i nieskomplikowana. Kiedy po kilku latach pobytu rozbitków na wyspie przychodzi wreszcie pomoc, młoda para postanawia pozostać na wyspie, gdzie nic nie mąci ich miłości i harmonji. Boją się świata cywilizowanego i dobrowolnie skazują się na wieczne odludzie na łonie przyrody.

— Trochę skopjowane z Londona, ale dobrze napisane — skonstatował. — Czy ja też zobaczę kiedy w życiu wyspy południowe? Czy już zasuszę się tu na zawsze?

Melancholijnie przeniósł wzrok z barwnej okładki na szare teczki i ogarnęła go nieprzeparta chęć rzucenia w kąt wszystkich szpargałów i wyrwania się wdal, w świat nieznany, pełen ciekawych przygód i ludzi, w świat słońca i przygody.

— Pan Toniewicz do pana naczelnika — strącił go z obłoków głos woźnego. Poszedł pełen niepokoju, pewnie jakie urzędowe „cygaro", albo jeszcze co gorszego. Takie pogadanki nie przynoszą zwykle nic dobrego.

— Telefon do pana — rzucił przełożony i Stefan ze wstydem chwycił ze słuchawkę; rozmowy prywatne w urzędzie, to ciężkie grzechy przeciw skomplikowanej papierowej religji.

— Hallo, tu magister Toniewicz. Kto mówi?

— To ja, panie Stefanie — zadźwięczał w telefonie srebrny głosik i Stefan poczuł, jak oblewa się potem; flirt przez telefon w czasie godzin biurowych? To gorzej, niż defraudacja!

— Czem mogę pani służyć? — silił się na nadanie rozmowie urzędowego charakteru, ale spostrzegł już niezadowolony wyraz twarzy naczelnika.

— Wie pan, naprawdę gniewam się na pana, zamiast gratulować. Jak mógł pan robić z tego tajemnicę?

— Nie rozumiem. O czem pani mówi? — dziwił się szczerze Stefan.

Dokończenie na str. 20-tej.

ZA CZASÓW
JÓZEFA KOTARBIŃSKIEGO...



W kole: Józef Kotarbiński w ostatnich latach życia.



Poniżej: Jedną z najlepszych kreacyj stworzył Kotarbiński w „Urjelu Akosta" Gutzkowa.

Kochał teatr.

Student warszawskiej Szkoły Głównej, kolega Henryka Sienkiewicza i wielu współczesnych mu w „Królestwie Polskiem" znanych później pisarzy i działaczy społecznych epoki poromantycznej, niezwykle utalentowany i wszechstronnie wykształcony, pracował z powodzeniem w publicystyce i miał możność pracy w tej dziedzinie, zamiast w zawodzie aktora.

Jednak tą drogą poszedł.

Szlachetna uroda, postać wyniosła, rysy twarzy wspaniałe, wyraziste, głębia uczuć i głos o brzmieniu metalicznem jak dźwięk organów, predystynowały go do ról bohaterów klasycznego repertuaru. Szczególny urok miał jego głos. Kto słyszał i wspomni, słyszy go.

Wówczas literatura, wedle określenia Stefana Żeromskiego „dzierżyła rząd dusz polskich" i łącznie z teatrem krzewiła piękno ideału.

Na przedstawieniu tragedji Rasyna, gdy Kotarbiński, głosem nabrzmiałym tęsknotą, wypowiedział ze sceny słowo „wolność", wszyscy na widowni powstali i teatr zatrząsł się od oklasków.

Takie manifestacje narodowe niesłychanie drażniły rosyjskie władze.

Na przedstawieniu opery Moniuszki „Hrabina" stałe się powtarzały, gdy na scenie ukazywał się śpiewak w mundurze polskiego ułana.

Reżyserja teatrów i opery bywała między młotem i kowadłem.

Teatry w Warszawie, Wielki, to jest opera i balet, Rozmaitości, Letni, Nowy i Mały, pozostawały wtedy pod zarządem mianowanych przez Petersburg, „prezesów" Rosjan, przeważnie byłych generałów i pułkowników.

Wytwarzała się paradoksalna sytuacja. — Z jednej strony administracja kraju, w osobach generałgubernatora i tysięcznej chmary rusyfikatorów, cenzorów, żandarmów i szpiclów, dławiła przejawy polskości, prasy i szkolnictwa, a z drugiej prezesi popierali rozwój teatrów, lub przynajmniej mu nie przeszkadzali.

Rzecz wiadoma, że cokolwiek by się mówiło o rosyjskim ucisku, prześladowaniach i szykanach, to wszystko byłoby zamało. — Karty tych czasów krwawe i czarne. Prócz, trzeba przyznać, kart teatrów w Warszawie, czego dowodem są wspomnienia tych, którzy z teatrami współpracowali, studja historyków teatru Jana Lorentowicza i Eugenjusza Świerczewskiego, książka Kotarbińskiego „Aktorzy i aktorki" i szczegółowy pamiętnik aktora Pawła Owerłły „Z tamtej strony rampy".

Prezesi, tacy i owacy, byli interesom teatrów i polskiej literatury dramatycznej życzliwi.

Czy sprawiał to urok wyższej kultury, z którą się na swych stanowiskach zapoznali? czy przypadkiem wrodzony smak artystyczny, ambicja, aby iść na udry z rządem o budżety i cenzurę i pokazać dodatnie rezultaty? Dość, że jak pisze Owerłło, „unikali wszystkiego, coby mogło przynieść posądzenie o rusyfikację scen, zwłaszcza dramatu... szczycili się talentem autorów i aktorów... i opinja o tem, jakoby rusyfikowali sztukę polską, jest wręcz niezgodna z prawdą i nieporozumieniem".

Galerja typów...

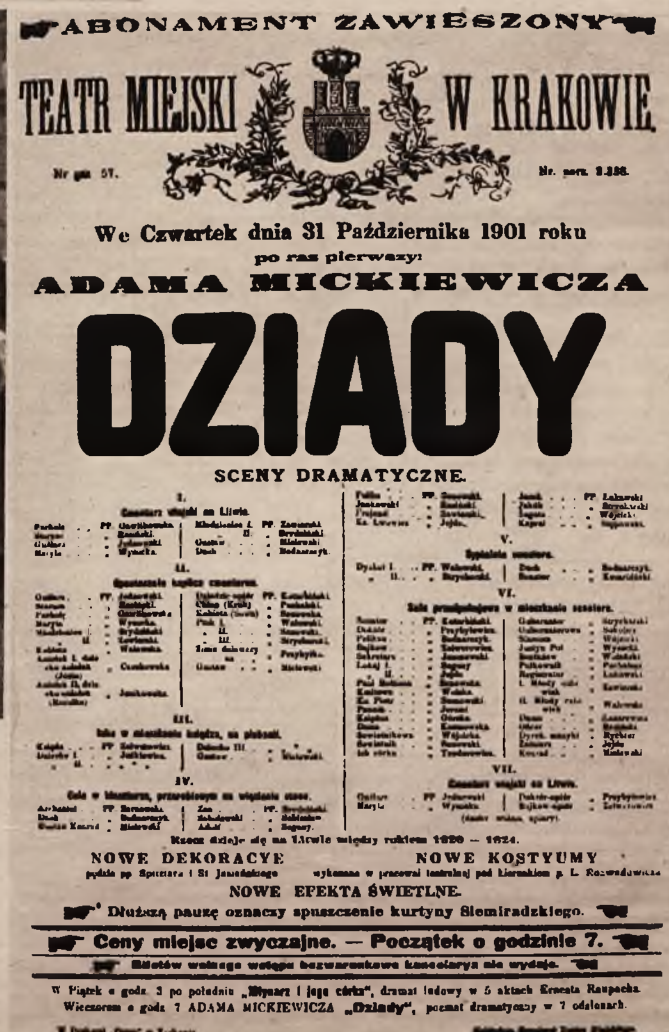
Generał Paweł Iwanow, generał Karandjejew, pułkownik Piotr Andrejew, generał-inżynier Dymitr Palczyn, wiceprezes Stanisław Karaffa-Korbut, Polak z pochodzenia, kapitan w służbie cywilnej, rzeczywisty radca stanu Wsiewołożskij, Małyszew, Herszelman i wreszcie, przed zwianiem Rosjan z Warszawy w początkach Wielkiej Wojny, ostatni prezes, pułkownik Burman.

Ludzie wykształceni, gładcy, jakgdyby na okaz na Zachód przysłani. Prezes Małyszew, elegant, bufon, Herszelman birbant, hulaka, Wsiewołożskij, wielbiciel baletu, traktowali swe obowiązki biurokratycznie, obojętnie, aby zbyć, ale przynajmniej niczemu nie przeszkadzali. Natomiast dwaj wymienini wyżej, Policyn i Karandjejew, każdy inaczej, dbali o poziom gry aktorskiej, — i wprost niepodobna uwierzyć, a jednak tak było — o polskość, swojskość, repertuaru.

Policzyn z rozkazu Petersburga wprowa-



Powyżej: Kotarbiński w roli Horsztyńskiego.



ABONAMENT ZAWIESZONY

TEATR MIEJSKI W KRAKOWIE

We Czwartek dnia 31 Października 1901 roku

po raz pierwszy:

ADAMA MICKIEWICZA

DZIADY

SCENY DRAMATYCZNE.

NOWE DEKORACYE

NOWE KOSTYUMY

NOWE EFEKTA ŚWIETLNE.

Dłuższą pauzę oznaczy spuszczenie kurtyny Siemiradzkiego.

Ceny miejsc zwyczajne. — Początek o godzinie 7.

Wieczorem o godz. 7 ADAMA MICKIEWICZA „Dziady", poemat dramatyczny w 7 odsłonach.

Na prawo: Afisz teatru miejskiego w Krakowie za dyrekcji J. Kotarbińskiego.

dził w kancelarji teatrów korespondencję w języku rosyjskim, ale za to zdobył od rządu kolosalne fundusze na przebudowę i nowoczesne środki techniczne w Teatrze Wielkim. Pragnął sztuk autorów polskich i nawet przygotowywał występy gościnne w Petersburgu zespołu aktorskiego z oryginalnemi polskiemi sztukami. Co zresztą nie doszło do skutku, z powodu piekielnych zwad aktorek o role.

Generał Karandjejew, z pochodzenia Tatar, też rozumiał, że repertuar sztuk polskich był wówczas sercu społeczeństwą najbliższy. „Szeroka natura", gdy Bałucki przyjechał do Warszawy na premjerę swej sztuki „Flirt", generał wydał na cześć Bałuckiego i aktorów bal w Hotelu Angielskim i sam prowadził mazura.

— „Ej, żeby tak Moskale pozwolili wystawić „Kościuszkę" — zwierzał się poufnie — to byłoby dobrze"

Naturalnie, że nie było to wykonalne, ale lojalność i wprost kult cudzoziemca dla polskiej literatury dramatycznej może posłużyć za przykład dla wielu „dyrektorów" późniejszych....

W różnym czasie repertuar proponowali kierownicy literaccy teatrów: Kazimierz Zaleski, Kotarbiński, A. Grzymała-Siedlecki.

Kotarbiński, aktor, reżyser, profesor w Szkole Aplikacyjnej i autor studjów krytycznych, dopiero, gdy przeniósł się do Krakowa, zaczął w pełni realizować swe artystyczne zamierzenia.

Fakt, że po świetnej i płodnej działalności Tadeusza Pawlikowskiego oddano teatr Kotarbińskiemu, był wyjątkowo trafny i szczęśliwy. Posiadał on znajomość literatury dramatycznej polskiej i obcej, znajomość sztuki aktorskiej i reżyserskiej, a przytem miłość bezinteresowną, „święty ogień miłości" dla sztuki. Jako profesor Szkoły Aplikacyjnej w Warszawie (nawiasem mówiąc, sławny był też z roztargnienia), podczas lekcji nieraz, zapalając się, deklamował całe poematy.

W Krakowie znalazł się w swoim żywiole. Stanisław Wasylewski napisał o Tadeuszu Pawlikowskim, jako o dyrektorze Teatru Miejskiego w Krakowie, następnie we Lwowie, że „tworzył autorów", aktorów i publiczność teatralną".

Kotarbiński również nie wahał się ryzykować, na swój koszt, bo budynek i inwentarz teatru od miasta dzierżawił. Wprowadzał na scenę utwory autorów młodych i pierwszy wystawił dzieła naszej poezji romantycznej „Dziady" Mickiewicza. Przedtem tylko uczniowie gimnazjum na wieczorkach mickiewiczowskich odgrywali scenę więzienną „Dziadów". On, w wizyjnej inscenizacji Wyspiańskiego, dał całe misterjum. A dalej we własnej inscenizacji Słowackiego „Kordjana", „Sen srebrny Salomei" i „Księdza Marka".

Do kaucji, złożonej w magistracie, miał wspólników, twardych finansistów. Ileż podczas przygotowań do wystawienia tych dzieł, musiał nasłuchać się ostrzeżeń, kpin i gróźb od nich, nim odniósł upragniony triumf!

Wystawił też, pierwszy raz na scenie „Nieboską komedję" Zygmunta Krasińskiego.

W mieszkaniu pana Józefa i pani Lucyny Kotarbińskich, przy gościnnym ich stole, uczestniczyli w naradach nad ustaleniem tekstu scenicznego i dekoracji, Henryk Sienkiewicz i krytyk Władysław Rabski przybyli z Warszawy, prof. Kazimierz Morawski, Adam Asnyk, Stanisław Wyspiański, Sewer, dr. Antoni Beaupré, Rudolf Starzewski, Kazimierz Tetmajer, Adolf Nowaczyński, reżyser Adolf Walewski i malarze: Jan Stanisławski, Włodzimierz Tetmajer, Wojciech Kossak. Dzieło poety miało się narodzić na nowo.

A jak ważkie były te w domu państwa Kotarbińskich narady, tego dowodem zainteresowanie ówczesnego świata uczonego. Po premjerze, poza oficjalną krytyką recenzentów teatralnych, odbywały się dyskusje w związkach naukowych i kotłowało się w seminarjach uniwersyteckich. Przedstawienie omawiały artykuły dyskusyjne i polemiczne specjalistów, naprzykład, archeologów i historyków epoki pierwszych Piastów, doktora Chmiela i profesora Potkańskiego, z racji w późniejszych latach wystawionej tragedji Wyspiańskiego „Bolesław Śmiały". Dzieła trzech wieszczów, powołane przed oczy do życia teatru, upowszechniały się, uświadamiały, kształciły.

Dobitnie okazało się, że literatura przeszłości niekoniecznie ma pozostawać w okładkach książek, i wielu niepiśmiennym sferom nieprzystępna.

Gdyby Kotarbińskiemu starczyło sił i czasu, miano, jak projektował, zobaczyć „Podziemia weneckie" Krasińskiego i „Dzieje Wacława" Garczyńskiego. Chciał przypomnieć dramaty Szujskiego i Magnuszewskiego, Narzymskiego i Korzeniowskiego.

Rzecz godna uwagi, że teatr pod jego dyrekcją nie posługiwał się, tak obecnie nadużywaną, reklamą, i to przeważnie reklamą zagranicznej tandety. Kancelarja teatru wydawała komunikaty zwięzłe, niemal zdawkowe.

Mimo to, Kraków w gorączce czekał na pierwsze przedstawienie.

Były czasy...

Antoni Wysocki.

Dokończenie ze str. 9-ej.

— Pan pewnie chciałby się czegoś dowiedzieć o „pierwszych mych krokach" na lodzie? Oczywiście, że o tem przedewszystkiem panu opowiem. Ale czy pan uwierzy, że po raz pierwszy znalazłam się na tafli lodowej, mając zaledwie 6 lat? Musi mi pan wierzyć, bo ja naprawdę niczego nie opowiadam dla reklamy, której nie lubię. Zaczęło się to w bardzo ekskluzywnym londyńskim pałacu lodowym „Westminster" — ciągnie moja urocza rozmówczyni, podczas gdy mikser kończył swe zabiegi nad zestawieniem dwóch znakomitych Manhattan-cocktail'ów.

— Czy nie jest to ciekawe, że nikt mnie nie uczył ślizgania się? Od pierwszego już wejścia na lód jeździłam na nim całkiem swobodnie i wszyscy się dziwili, jak ja to zgrabnie robię. Potem przyszły lata pracy nad techniką jazdy no i szlif, potrzebny kandydatce na mistrzynię. Nawet nie wie pan, jak szalenie się ucieszyłam zdobyciem tytułu mistrzyni świata przed rokiem, a to dlatego, ponieważ ostatnia Angielka dzierżyła ten tytuł jeszcze w roku 1906 — ja więc jestem tą, która sprawiła, iż mistrzowski tytuł wrócił po przeszło 30-tu latach znów do ukochanego Londynu.

— Pyta pan o moje lata? Don't! — uśmiech miss Cecilie przechodzi już w pełną kaskadę śmiechu. — No tak, gdy się jest w moim wieku, takie pytanie nie może uchodzić za niedyskretne. Otóż panie ciekawski, 28 listopada ub. roku ukończyłam pełnych 17 lat! Nie jest więc jeszcze tak źle ze mną, prawda?

— Sporty? Ależ naturalnie! Pływam z pasją; to naprawdę niezrównany sport. Pozatem uprawiam przez cały rok gimnastykę w jej wszelkich możliwych odmianach. Inne zainteresowania? Gram bardzo chętnie na fortepianie; ćwiczenia muzyczne są mi bardzo potrzebne do układania ewolucyj na lodzie. Pozatem lubię śpiewać. Akompanjuje mi wtedy moja kochana *mother*. Ślizgam się właściwie przez cały rok z wyjątkiem lipca i sierpnia, mając do dyspozycji siedem sztucznych lodowisk w londyńskich pałacach. Trener? Jest nim przemiły Szwajcar p. Gerschwiler, z którym od r. 1929 stale przez zimę trenuję w Zuoz, tu w Szwajcarji. Czy mam zamiar przejść na zawodowstwo? Ależ ani mi się nie śni! Przygotowuję się teraz do mistrzostw Europy w St. Moritz (Colledge zdobyła już tegoroczny tytuł mistrzowski — przyp. redakcji), a potem mam przed sobą jeden cel: znaleźć się na pierwszem miejscu na Olimpjadzie zimowej w Sapporo w Japonji.

Boy hotelowy przerywa nam rozmowę, anonsując: *You are wanted on the phone from London!* (pani jest proszona do telefonu — woła Londyn).

— A więc do zobaczenia za tydzień w St. Moritz! — słychać jeszcze od drzwi dziecięcy głosik przemiłej Angielki.

Well! Good bye!

Zygmunt Borzęcki — Davos.

Dokończenie ze str. 18-tej.

— Ależ panie Stefanie, przecież pan już wie o nagrodzie. Nawet pan nie wie, jak się strasznie cieszę. Odrazu poznałam, że to pan.

— Na miłość boską! O co chodzi? — Już nie zważał na marsową minę swego przełożonego.

— Teraz gniewam się naprawdę — głos przy telefonie przybrał ton ostry. Nie wiem, poco te całe komedje. Wiem dobrze, że to pan napisał tę nowelę, a jeżeli pan nie chce się ze mną podzielić radosną nowiną, to... to dowidzenia!

— Ależ panno Zosiu, niechże pani... Halło! Halllloooo — stał osłupiały, podczas kiedy naczelnik spacerował po pokoju, jak rozwścieczony lew w klatce, oburzony do żywego bezczelnem, swobodnem zachowaniem się urzędnika dwucyfrowej kategorji.

— Nagroda, za co? Jaka nowela? — pytał Stefan niemej i głuchej słuchawki. — Nowela? — powtarzał bezmyślnie — NO-WE-LA??!!

Błyskawica przypomnienia przebiegła przez jego umysł i nagle wszystko stało mu się całkiem jasne. Tak, to on napisał tę nowelę.. Ujrzał siebie, jak po pijanemu przez kilka godzin dyktuje na maszynę półprzytomnemu Tadkowi. Jak ledwie trzymając się na nogach, zakleja kopertę z tym głupim podwójnym pseudonimem i niesie ją do skrzynki, kiedy Tadek nieświadomy co się wogóle dzieje, runął na kanapę i chrapał. Po powrocie zasnął sam i ponieważ była to niedziela, spał aż do popołudnia i nie miał pojęcia wogóle o tem, że napisał nowelę. Teraz jasno uprzytomnił sobie, jak w stanie półświadomości wydobył z siebie to wszystko, o czem tylekroć dawniej marzył i z czego później zrezygnował. Nic dziwnego, że Zosia poznała odrazu autora, przecież niektóre pomysły kilkakrotnie rozwijał przed nią, dlatego też nowela wydała mu się skądś znaną. Więc to on został laureatem? I ma pieniądze!

Usłyszał, że naczelnik coś do niego mówi wzburzonym tonem: „i to u mnie, tak jakby to był salon! To wprost niesłychane! Jak ja byłem w pańskim wieku i randze..." — miotał się groteskowo przed Stefanem, który nie odrazu zrozumiał, o co „staremu" chodzi. I stała się rzecz, która chyba nie ma precedensu w żadnym urzędzie podatkowym od czasu stworzenia świata. Oto magister Toniewicz, urzędnik dwucyfrowej kategorji, roześmiał się swemu przełożonemu prosto w twarz, nie zważając na dzielący ich olbrzymi dystans conajmniej czterech szczebli majestatycznej drabiny hierarchji służbowej. Śmiał się długo i szczerze, zanosił się poprostu od nieprzymuszonego śmiechu. Wreszcie przestał śmiać się, spojrzał przez naczelnika, przez mury i szafy z papierami, gdzieś daleko i zobaczył wspaniały jacht, płynący w oślepiającem świetle po błękitnych falach oceanu w kierunku atolu, powiewającego palmami na powitanie. A na pokładzie stoi on, Stefan i ona, Zosia i patrzą na kolorowe wybrzeże. Nie mówią nic, czują tylko, że są szczęśliwi...

Wyprostował się, spojrzał na naczelnika z nieopisanym politowaniem i rzekł: — Obrzydły mi już te wstrętne papiery i to podłe życie. Dowidzenia.

I poszedł. A kiedy przekroczył bramę spadł z niego nieznośny ciężar, przygniatający go od czterech lat. Poczuł się młody i silny, jakby mu kto przypiął skrzydła.



NOKTURN ZAKOPIAŃSKI

Fot. Schabenbeck — Zakopane.

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

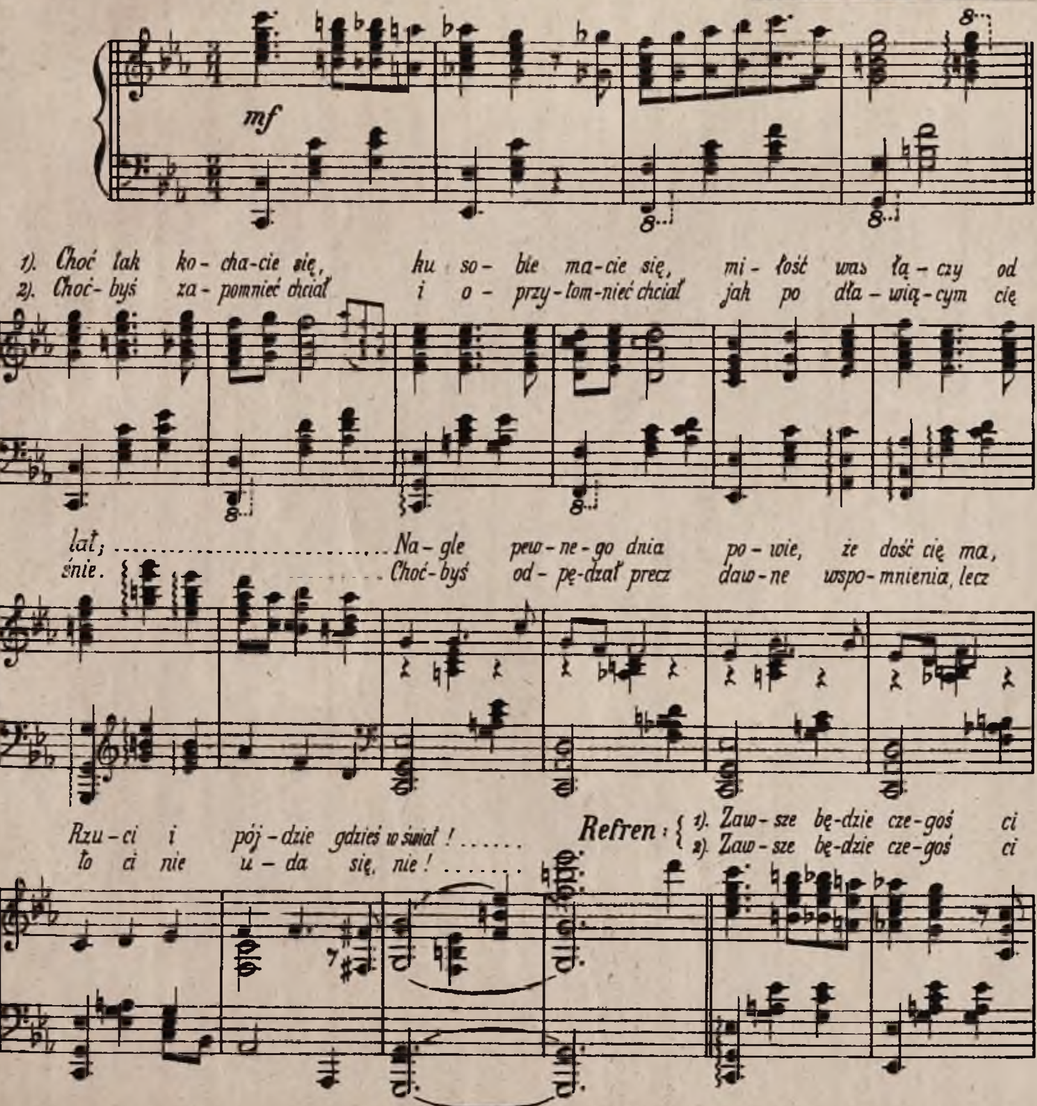
Zawsze będzie Ci czegoś brak...

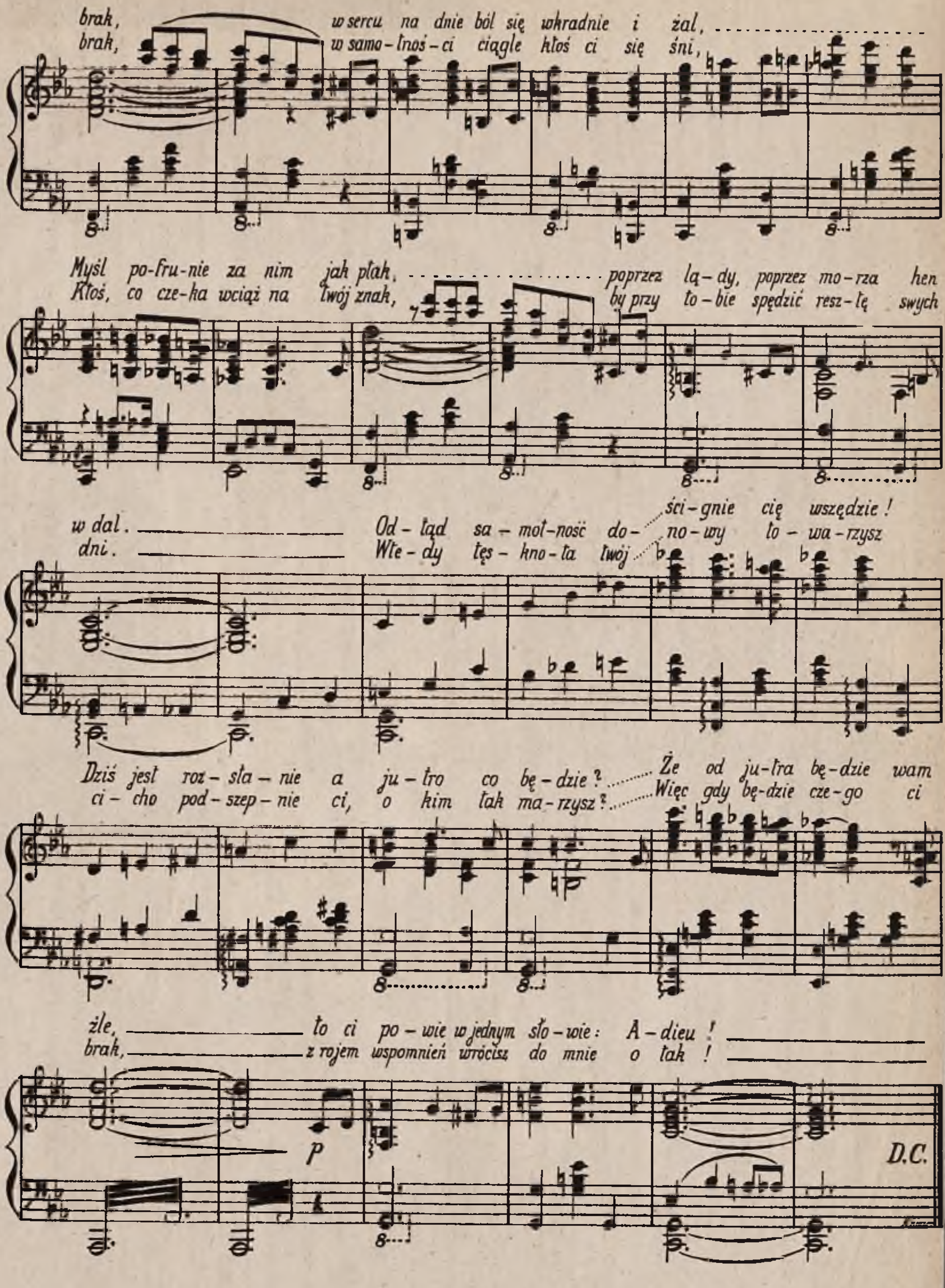
PIOSENKA POŚWIĘCONA „STUDENTCE Z GRACU"



Słowa: M. OZIEROWSKI

Muzyka: JAN MARKOWSKI





RĘKAWICZKI CHOPINA

HANNA KŁOSIŃSKA

NOWELA

— O czem grałeś maestro?

Fryderyk Chopin podniósł oczy znad fortepianu i spojrzał na pytającą. Objęta krynoliną, białym atłasem i koronką, zbudowana była smukle i harmonijnie. Można było jej imieniem zacząć jakieś lekkie, skrzące się impromtu. Słyszał tę dziewczynę, jak melodję, zjawiała mu się w myślach, jak urocza i długo oczekiwana fraza muzyczna. Nie wiedział nawet, jak wyglądała. Nigdy się jej nie przypatrywał, ale grał ją często jak jakąś ulubioną chançon triste. Należała do kobiet, które w życiu mężczyzn spełniają rolę natchnienia.

Fryderyk Chopin często zmieniał natchnienia. Jednego wieczora potrafił się zakochać w trzech naraz kobietach. Wracał do domu, nie myśląc o żadnej i zostawiał każdej silne przekonanie, że ona jedna była tą, którą kochał. Tak samo postępował ze słuchaczami, wmawiał w nich, że gra dla każdego osobno. W fascynującej hypnozie kryła się tajemnica miłosnego i artystycznego szczęścia maestra.

Chopin bawił się klawiszami, delikatnie, jakby paluszkami dziewczęcej ręki, nie grał już, tylko spod jego tkliwych, nerwowych palców, wybiegał jakby szept, jakby daleki stłumiony śmiech.

— Czy nie powierzy mi Pan swojej tajemnicy? W pańskiej muzyce było coś dziwnie znajomego, tak jakbym o tem śniła, albo ktoś mi to samo opowiadał, ktoś miły, bliski, znajomy.

Uśmiechał się, może nie zrozumiałaby go, gdyby jej powiedział, że grał ją samą, Corę Pinard. Że grał jej czarne włosy, świeże usta, gibką kibić, toczone ramiona, przejrzyste, jak woda oczy, małe stopy w atłasowych trzewiczkach. Że grał jej wstążki, riusze i koronki, jej wdzięk zalotny i lekkość w tańcu, całą jej urodę czarnego kryształu i kości słoniowej. Bo taka właśnie była drogocenna i wykwintna, jak dzieło sztuki.

— Twoja muzyka maestro jest, jak miłość. Gdy ty grasz rozumiem, co to jest wniebowzięcie.

— Jesteś jeszcze zbyt młoda Coro, by zrozumieć, że moja muzyka jest tylko sztuką. Niema genjuszów — są sztukmistrze. Rozumiesz mała Coro? W muzyce człowieka — niema nic boskiego. Bóg artystów jest jak Bóg kupców — niewidzialny.

— Pan mnie przeraża, a mimo to uwielbiam pana!

— On vous adore. — Inna kobieta wyznała mu to samo temi słowami i kobietę tę kochał i nienawidził jak każdą inną przed nią i po niej. Była tu z nim dzisiejszego wieczora. O kilka kroków od niego stała zwrócona profilem, rozmawiając z Franciszkiem Lisztem. Zawsze tak z profilu widzieli ją kochankowie, poeci i historja. Miała piękny profil Afrodyty z Milo, antyczne czoło i urocze usta. Pisywała sentymentalne i genjalne powieści, a poza tem była mądrą kobietą. Wybaczała Fryderykowi jego flirty. Od najpiękniejszych kobiet uwoziła go z sobą w dorożce — z pogardliwym, lekceważącym wdziękiem. Jedna filiżanka wystarczała aż nadto, by utopić w niej nawet najbardziej uroczą. Pani George Sand, w codziennem życiu Aurora Dudevant, według legendy wnuczka pani von Koenigsmarck i króla Augusta Mocnego, była mocną kobietą w miłości. Nie rywalizowała nigdy z żadną kobietą. — Przywykła do swego pierwszego miejsca. Chuda i czarna, jak kret, szalona i dziwaczna, niedyskretna i źle wychowana, umiała w jednej chwili zamieniać się w fascynującą damę, w ogromnie kobiecą kobietę, której tkliwa, słodka miłość, zalotny wdzięk, płomienne oczy, ruchy pełne osobliwej gracji i błyskotliwy dowcip sprawiały, że Fryderyk Chopin kochał ją przez lat osiem codzień inną miłością. I teraz zakochany w Corze Pinard — kochał Aurorę całą namiętnością serca.

Powieści George Sand czytywał z niesmakiem i bez zrozumienia, niczego dla niej nie tworzył, ale to, kim był w ciągu tych ośmiu lat miłości — jej zawdzięczał. A właśnie w ciągu tych ośmiu lat ostatnich został Fryderykiem Chopinem.

Nie zaznał z nią szczęścia, nie byli sobie wierni, ani życzliwi. Ich miłość była, jak burza — gwałtowna i groźna, ale po jej przejściu oczyszczało się powietrze. Oboje oddychali z ulgą. Ona pisała, on komponował, a w przerwach kochali się romantycznie, patetycznie, przy pomocy wielkich słów i patetycznych gestów, jak chciał duch czasu i moda. Miłość była nieustanną walką, w której zwycięzony był zawsze szczęśliwszym. Wbrew wszelkiej logice bywał nim Chopin.

Od pewnego czasu pieszczotliwe nazwanie „mon ami" nadawane Lisztowi przez Aurorę, nabierało w jej ustach głębokiego i serdecznego sensu, a jej suknie szyku i barwy. Czarne pukle włosów zwinęły się po grecku nad czołem i wzdłuż policzków, ujmując jej klasyczną główkę w antyczną ramę z hebanu. W chwilach, gdy była piękną, przypominała posągi starogreckie — szlachetnością linji i pięknem wyrazu. Bo piękność Aurory Dudevant zależała, jak jej miłość, od jej woli i kaprysu. Tego wieczora w blado niebieskiej sukni, w perłach i koronkowym szalu, który pienił się na obnażonych ramionach z takim przytulnym wdziękiem, jak tylko prawdziwe koronki valenciennes potrafią.— Pani George Sand była najpiękniejszą kobietą w salonie Potockich. Do błękitnych i perłowych obić tego salonu, dostosowała swoją toaletę i ona jedna była tu na swojem miejscu. Stylową, wykwintną principessą, pozującą do portretu. Liszt zaś adorował ją zuchwale swojemi jasnemi oczyma poganina. Narzucał jej oczom i sercu swą szczęśliwą, olbrzymią, jasną urodę, szafirowy frak i opinję uwodziciela, kokieta i genjusza.

Wpatrzony w Aurorę zaczął Fryderyk Chopin grać jakieś szalone warjacje. Poprzez cichy zaśpiew scherza pełen czułości, pieszczoty i lęku przeleciał nad fortepianem wiatr namiętności. Wszystko się zakołysało, kwiaty, kobiety, lampy i melodja. Z lirycznej pieśni o słodkim, miłosnym uśmiechu, z romansu a la Bellini, z czułego rondo amoroso — spłynął powiewny i uroczy „valse brillante", chwilę chwiał się wokół kobiet i ich szumiących i lśniących sukni, lekkiemi krokami biegł po sercu w zgrabnym, kołyszącym takcie i przeszedł w długą, wymowną pauzę, która wydawała się, jak osobna melodja. Po tym *miłosnym domyślniku strzelił nagle piorun i dosięgnął Aurorę.* Przerwała flirt z Lisztem, podeszła do fortepianu, patrzyła na smukłe giętkie ręce, tak znane jej w pieszczocie, w gniewie i w czułości. Pochyliła się ku niemu, piersią przytgnęła do wieka fortepianu. Jej serce biło. Fryderyk Chopin podniósł olśnione oczy. Kobieta i muzyka stanowiły jedno. Jego kobieta i jego muzyka. Wrócił do scherza, które zwolna pod jego palcami nabierało bajecznych zwrotów ballady.

— Odwagi, odwagi, moje aksamitne palce — szepnęła mu pani Sand, porzucając go dla Liszta. Po raz czwarty tego wieczoru Chopin przyjął wyzwanie. *Zerwał* szal z ramion ślicznej Delfiny Potockiej, nakrył nim klawiaturę i zaczął grać na tym szalu jakieś frywolne, czarujące głupstwa, w oprawie błyszczących fraz i komplimentów, jakieś jedwabne i lekkie dykteryjki, plotki, pocałunki, szepty.

Gdy skończył oddał szal Delfinie z ukłonem.

— Po raz pierwszy grałem na koronkowych klawiszach. To był pani portret mu zyczny hrabino. Grałem dla pani. Grałem jej wysoką, czystą, dumną duszę, przykrytą tylko koronką etykiety dla niewtajemniczonych oczu.

Przez resztę wieczoru dzielił swoje obrażone, upokorzone serce między jasną, pańską, eteryczną piękność Delfiny, a słodką urodę Cory Pinard, której czarne, gwiaździste oczy i uroczą główkę jeden Greuze, a drugi Grassi mogliby malować, gdyby żyli jeszcze. Artyści jednak zawsze żyją w czasie, kiedy nie są nikomu potrzebni.

Cora dźwięczała koło niego, jak zapomniana melodja, poznał tę nutę pod koniec wieczoru — w Corze Pinard, jak w cudownym zegarze ukrytą była melodja staroświeckiego menueta, którą mu matka do snu grywała. Wiedział, że Cora kochała kiedyś Juljusza Słowackiego, wiedział, że o nim jeszcze nie zapomniała. Miłość romantyczna trwała wiecznie, to znaczy mniej więcej dwa lata. Więc grał Corze, jak choremu dziecku miłosne bajki i kołysanki, aż zmęczyli się oboje muzyką. Mówili o rzeczach mało ważnych, a niedyskretne pytania Cory przyprawiały go o bicie serca.

— Czy bardzo pan kocha panią Sand?

— Nie wiem, Coro. Miłość nie zna żadnego „bardzo". Jest miłością.

— Ona nie jest przecież piękną.

— Ona jest piękną wtedy, gdy ją kocham. Kobieta jest tem piękniejszą, im więcej jest kochana. Masz dopiero osiemnaście lat, Coro, i nie znasz się na tem.

— Och kochałam już!

— Powiedziałaś to mniej więcej w ten sposób: miałam szkarlatynę. I przez kogo? Ach, lekkomyślny monsieur Jules. Ale historja miłości nie kończy się na jednym człowieku.

— Jules jest wielkim poetą, nieprawdaż?

— Czy wiesz, co jest największą klęską dla poety? Gdy sam jest bardziej interesujący, niż jego wiersze. Obawiam się, że tak jest z panem Słowackim. Jego zabójcze krawaty i perłowe cylindry, jego manjery, jego wykwintna, subtelna francuszczyzna... Ach, któżby się tobie dziwił, mała Coro.

— Och! monsieur Chopin, jak pan go nie lubi. A czy pan wie o tem, że jest do niego podobny i nosi pan takie same perłowe cylindry?

— Wiem, mówiła mi o tem dziewczyna z mojego kraju, okrutna, miła dziewczyna. Najmilsza.

— Monsieur Chopin, dlaczego najmilsza? Ja także mogłabym pana kochać.

— Czy dlatego, że jestem do niego podobny?

— Nie wiem, dlaczego. Ale kochałabym mocno, wiernie, bardzo. Bo ja wiem, co to znaczy: bardzo kochać.

— Ma pan piękne ręce monsieur Chopin, smukłe, wąskie, najpiękniejsze ręce w Paryżu, najpiękniejsze ręce na świecie. Poznałabym je zawsze i wszędzie, nawet gdybyś był stary i brzydki, w łachmanach, poznałabym twoje ręce.

Fryderyk Chopin uśmiechnął się z pobłażaniem. Namiętny słodki szept: „Odwagi, odwagi, moje aksamitne palce". Ach, tak, miłość jest zawsze ta sama, kobieta tylko jest inna. Jednak pomimo tych refleksji charmeur w wiśniowym fraku i jasnej kamizelce pochylił swoją zuchwałą blond głowę przed uroczem dziewczątkiem, otulonem w białe rusze, jak kurczątko w puch.

— Wrócę do ciebie panno Coro, gdy będę stary i biedny, ale pewniej przyjdę do ciebie jutro.

— Maestro, proszę mnie odprowadzić do powozu, nie chcę już nikogo widzieć do jutra.

Jeszcze raz z głębi powozu wychyliła się ku niemu pachnąca, młoda i cała osnuta znajomą melodją menueta.

— Czekam, szepnęła, czekam choćby do śmierci. — Przy tych słowach Fryderyk Chopin rzucił w głąb powozu swoje kremowe glansowane rękawiczki. Wiedział, dlaczego to uczynił. Nie czekając na odjazd powozu, pocałował z rozczuleniem małą ,ciepłą łapkę i wbiegł zpowrotem na schody pałacu Potockich.

Do domu wrócił z Aurorą. Błękitna kobietka rzucała się niespokojnie w dorożce, jak ogromna ważka nad stawem. Paryż już spał drżący wśród gwiazd, jak w ogromnej srebrnej sieci, wysnutej przez gigantycznego pająka.

— Po raz pierwszy dziś grałeś dla mnie — powiedziała pani Sand. — Szkoda, żeś rzecz tak piękną, zakrył szalem Delfiny. Kochałam cię Fryderyku, a nie poświęciłeś mi ani jednej nuty. Wszystkie inne obdarzyłeś hojnie. Rondo á la Mazur — á Mlle la comtesse Alexandrine de Mariolles — kochałeś ją w Wiedniu — niedługo, ale szczodrze. A te nokturny á la Princesse Czartoryska, a Mme la comtesse Delphine Potocka — tej dałeś koncert F-moll, tak? Kobiety z twego kraju cenią cię wysoko. A madame la Camtesse d'Agoult — aż 12 etiud. Nawet kochanki przyjaciół korzystają z twego genjuszu. Madame la Duchesse de Wuertemberg oddałeś mazurki, o które zawsze byłam taka zazdrosna. Etiuda F-moll á Mlle la Comtesse Marie Wodzińska. Narzeczona. Oboje jej nie możemy zapomnieć.

— Jesteś niesprawiedliwą Auroro, oddałem ci osiem najpiękniejszych, najlepszych lat życia.

— Miłość nie ma przeszłości, ma tylko przyszłość.

— Obawiam się, że my dwoje nie mamy przyszłości.

— Jak to mam rozumieć?

— Wcale nie trzeba rozumieć. W ciągu ośmiu lat ani przez kwadrans nie rozumieliśmy się, a było nam dobrze. Szczęście jest nieporozumieniem. Dlatego jest szczęściem.

— Więc wszystko może pozostać jak było.

— Nie. Wszystko się zmieni. Trudno mi wytłumaczyć się. Kobiety nie mają duszy. Mają zamiast niej albo serce, albo temperament. Ty masz temperament, a mnie trzeba serca. Zapóźno to zrozumiałem.

— Więc Cora, tak?

— Życie ze mną pozbawiło cię złudzeń, egzaltacji, młodości, więc zostawiam cię złudzeniom Fryderyku Chopinie. Przez tę jedną noc bądź młody i kochaj.

Na drugi dzień zjawił się w mieszkaniu Chopina miljoner paryski pan Chamfleury z parą kremowych rękawiczek glacé.

— Odwiozłem wczoraj pannę Pinard do domu — oświadczył z dyskretnym uśmiechem. Dziś odesłała mi te rękawiczki, myślała, że przez zapomnienie zostawiłem je w jej powozie. Tylko kobieta mogła się tak pomylić. Takie rękawiczki cienkie i wąskie, o długich palcach należeć mogą tylko do artysty. Jeśli nie są pańskie, należą może do pana Liszta albo pana Berlioza. Te długie, szczupłe palce...

— Tak, to są moje rękawiczki. Dziękuję panu, panie Chamfleury.

Tego wieczora Fryderyk Chopin grał pani Sand stare scherza i warjacje, powstałe w czasach, kiedy Aurora wyznała mu za osłoną wachlarza z kości słoniowej: „On vous adore".

Po tygodniu Paryż miał nielada sensację Mademoiselle Cora Pinard zaręczyła się z panem Chamfleury.

—o—



Kanadyjskie mackinaws i kamizelki á la Buffalo Bill

Na prawo:

- Kamizelki á la Buffallo Bill, w których przodki zrobione są z futra, można nosić bez rękawów, albo z rękawami.
- Zapinane one są na guziki, częściej na t. zw. błyskawiczny zamek.

Poniżej:

- Kanadyjskie mackinaws odznaczają się szerokim, biegnącym w poprzek pasem kolorowym, który przechodzi i przez rękawy.
- T. zw. parka, noszona przez Eskimosów zwraca uwagę wzorzystym materjałem, analogicznym do tego, z którego sporządza się pledy.





Na całym świecie w ośrodkach sportów zimowych obowiązuje specjalna etykieta. Czy to będzie Kitzbühel czy Davos, Zakopane czy Krynica — wszędzie tam życie kształtuje się pod wpływem specyficznych warunków, na które składają się i chęć użycia sportów w jaknajszerszych granicach i potrzeba wypoczynku po dosyć rygorystycznym trybie życia wielkomiejskiego. Pod hasłem: *Jak najwięcej swobody!* — przyjeżdżają liczne rzesze sportsmenów i sportsmenek, którzy poza nartami, bobami czy saneczkami, bynajmniej nie rezygnują z takich przyjemności, jak taniec, bridge itd. Ale podczas, gdy w mieście wszystkie te formy rozrywek mają ustalone ramy, ściśle przez wielu respektowane — tak w górach wiele imprez odbywa się na terenie ad hoc zaimprowizowanym (np. taniec na śniegu) i ludzie przyzwyczaili się nie przykładać tam specjalnej wagi do stroju, jako właściwego odpowiednika chwili i charakteru zabawy. Dzięki temu nietylko w południe przy gorącym krupniku tańczy się w Zakopanem u „Karpia" w stroju narciarskim — tym samym, w którym co dopiero odbyło się wycieczkę lub przynajmniej jeden zjazd z Kasprowego, ale idzie się tak ubrany także po obiedzie na partję bridge'a do „Klubu zakopiańskiego" i równie dobrze na five do Trzaski. Parkiet dancingowy nabiera w ten sposób charakteru wybitnie sportowego, harmonizując z ogólnym wyglądem i kolorytem miejscowości. Przytem powstają także nigdzie indziej nie oglądane kontrasty. O 5-tej po południu tłum w strojach sportowych, a więc niezwykle kolorowe swetry, wełniane koszule, kamizelki a la Buffalo Bill i coraz modniejsze kanadyjskie mackinaws, do nich ciężkie narciarskie „buciary" — wieczór koło 10-tej na tej samej sali, te same postacie, żeglujące w takt upojnego tanga w leciutkich pumpsach i wygalonowanych spodniach, bo wieczór ustaje nawet w górach swoboda w ubiorze i wszyscy przebierają się w stroje oficjalne

BRUMMEL.

ZROBIĘ TO SAMA!

DZIECIĘCA SUKIENKA Z WŁÓCZKI

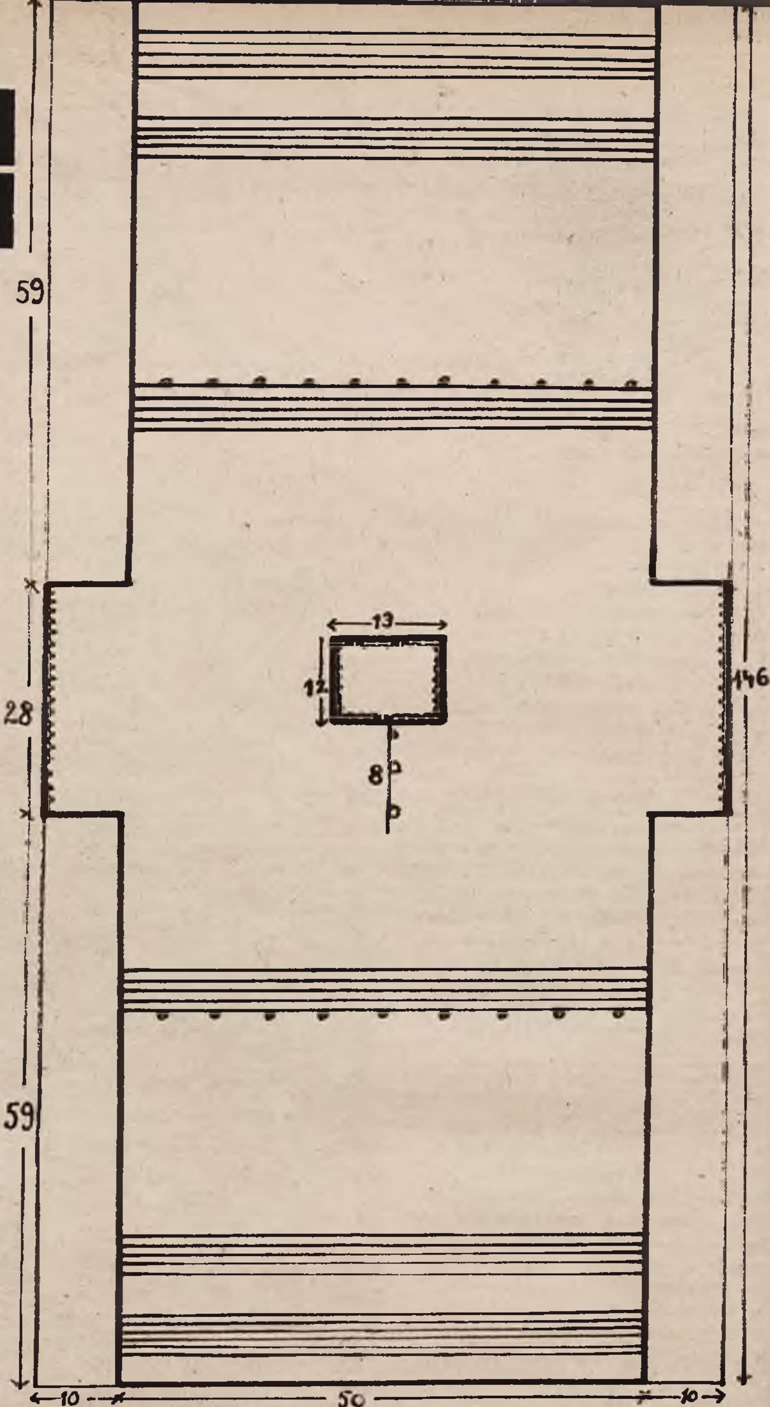
Materjał na tę uroczą sukienkę, którą widzimy na naszej ilustracji, to 250 gr. włóczki wełnianej w barwie pastelowej i 20 gr. włóczki w innych ciemniejszych odcieniach, t. j. w dwóch żywych harmonijnie dobranych do podstawowego, pastelowego koloru. Naturalnie niezbędne jest dobre szydełko i wreszcie trzy ładne guziki.

Co do kroju i wymiarów, to najlepiej przygotować na miarę krój kimonowy z papieru i w robocie stosować się do tej formy. Robota to niezmiernie łatwa, gdyż całą sukieneczkę robi się w pełnych słupkach. Zaczyna się szydełkować włóczkę w pastelowym kolorze podstawowym od dołu — trzy rządki słupków. Następuje jeden rządek słupków z dodatkowej włóczki ciemniejszej, 1 rząd z jaśniejszej, 1 rząd z włóczki w barwie podstawowej, znowu 1 rząd z włóczki jaśniejszej i 1 rząd z ciemniejszej.

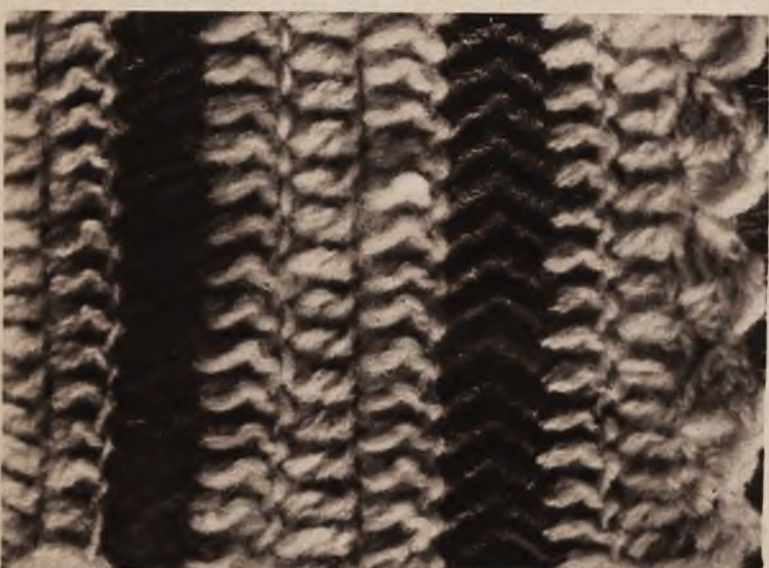
Dalej już robimy kolejno w następujący sposób: 3 rzędy z włóczki pastelowej, 1 rząd z ciemniejszej. 1 rząd z jaśniejszej, 1 rząd w barwie podstawowej, 1 rząd jaśniejszej, 1 rząd ciemniejszej. Teraz robimy 18 rzędów słupków w barwie podstawowej i znowu 1 rząd z włóczki ciemniejsej, 1 rząd z jaśniejszej, 1 rząd z włóczki barwy podstawowej pastelowej, 1 rząd słupków jaśniejszych, 1 rząd ciemniejszy i znowu 18 rzędów z włóczki podstawowej. W tym porządku, stosownie do wzrostu małej elegantki, dochodzimy do połowy sukienki, t. j. do pachwin. Plecy szydełkujemy w tej samej kolejności barw.

Rękami robimy w ten sposób, że szydełkujemy 6 rzędów z włóczki w barwie pastelowej po obydwu stronach, dodając po 10 oczek łańcuszka w powietrzu. W tej szerokości szydełkujemy dalej. Musimy jednak na to uważać, aby w tym samym rządku, który stanowi podstawę rękawów, rozpocząć przedział dekoltowy i każdą stronę szydełkować oddzielnie. Właściwy dekolt pozostawiamy swobodny, według miary.

Przechodzimy teraz do wykończenia. Gdy już sukienka jest gotowa w szydełku, zeszywa się przód i tył oraz rękawki. Do przedziałka dekoltowego przyszywa się guziki i pętelki. Dekolt i rękawki obrabia się ciemniejszą włóczką następująco: wrabia się jeden półsłupek. 3 słupki i znowu 1 półsłupek. — Następnie opuszcza się 3 oczka i t. d. jak wyżej. Ten rządek obrabia się półsłupkami z włóczki jaśniejszej. — Z ciemnej włóczki splata się warkocz. Przerabia się go igłą włóczką jaśniejszą i ten sznur przewleka w pasie. Sukienka gotowa.



Na prawo: Schemat kroju sukienki.



Powyżej: Wzór szydełkowania.



A oto wykończony model na małej modelce.

ZDJĘCIA FOT.: SCHOSTAL — WIEDEŃ

Życie
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

LOUIS TRENKER W DAVOS



Słynny narciarz, reżyser i aktor filmowy oraz autor wielu dzieł o narciarstwie i alpinizmie, Louis Trenker, zawitał ostatnio do Davos, by rozkoszować się jazdą na słynnych w całym świecie terenach narciarskich, Parsenn. Widzimy go na zdjęciu (po prawej) w towarzystwie dyrektora biura propagandy Davos, p. W. Kerna.

Fot. Zygmunt Borzęcki — Davos

SUKCESY LODY HALAMY ZA OCEANEM



Znakomita nasza tancerka, Loda Halama, zwana „płomieniem tańca", bawi od kilku miesięcy w Ameryce. Artystka odniosła wielki sukces w „Halce", wystawionej przez chicagowską „Civic-Opera". Ogólnie podobał się „Mazur" i „Taniec zbójnicki", układu Lody Halamy, o której talencie choreograficznym prasa rozpisuje się w superlatywach.

Fot. Maurice Seymour — Chicago

„ROBERT i BERTRAND" NA EKRANIE



Popularny wodewil niemiecki „Robert i Bertrand, czyli dwaj złodzieje" Jana Nestroya, który jeszcze przed wojną obiegł sceny niemal całej Europy, i był grany również w teatrze krakowskim z wielkiem powodzeniem, doczekał się realizacji filmowej. Zabawną parę wagabundów, której perypetje stanowią treść wodewilu, odtwarzali na scenie krakowskiej Józef Węgrzyn i Jerzy Leszczyński. Film przynosi nam kreacje artystów tej miary, co Adolf Dymsza i Eugenjusz Bodo, których zobaczymy razem po raz pierwszy na ekranie. W pozostałych rolach błyszczą: Helena Grossówna, Mieczysława Ćwiklińska, Antoni Fertner i Michał Znicz. Jak więc widzimy, zespół złożony naprawdę z samych „gwiazd". Na zdjęciu: Grossówna, Dymsza i Bodo w jednej ze scen wodewilu.

ŚLUB ZNANYCH ŻEGLARZY



Na lewo:

W ub. miesiącu odbył się w Krakowie ślub znanych żeglarzy krakowskiego oddziału A. Z. M.-u, pp. Marjoli Schützerówny, absolwentki med. U. J. z dr Zdzisławem Makomaskim. Na zdjęciu: Młoda para podczas jednej ze swych wypraw żeglarskich.

Na prawo:

Sympatyczny zespół śpiewaczy, znany już dziś na obu półkulach pod nazwą „Chóru Dana", bawił na tournée we Włoszech. Występy „Danowców" spotkały się z niezwykle gorącem przyjęciem ze strony włoskiej publiczności. Na zdjęciu: Chór Dana przed katedrą w Medjolanie (na fotosie skreślone pozdrowienia dla „Asa").

CHÓR DANA WE WŁOSZECH



Pijmy NASZE JARZYNY



Sok z marchwi i pomarańcz przyczynia się do uzyskania pięknej cery.



Pomarańcze, szpinak i pietruszka wzmacniają organizm.

NA PIĘKNĄ CERĘ.

Marchewka i sok z pomarańczy. Trzeba oskrobać marchewkę i pokrajać ją wzdłuż na cienkie paski, które umieszcza się pod prasą. Jeżeli marchewka jest bardzo sucha i daje za pierwszym razem mało soku, można ją wyciskać po raz drugi. Mieszajcie sok z marchewki pół na pół z sokiem pomarańczy i pijcie trzy szklanki dziennie, a będziecie miały wkrótce cerę młodej dziewczyny.

ABY WZMOCNIĆ ORGANIZM.

Dwie spore garście szpinaku i mała porcja pietruszki. Pomieszać, dobrze wycisnąć w prasie i zmieszać z sokiem pomarańczy. Trzy szklanki dziennie tego doskonałego ekstraktu zaopatrzą wasz organizm w żelazo i inne składniki daleko lepiej, niż jakiekolwiek lekarstwo. Jeżeli wasza córeczka jest blada, a syn zmęczony nauką, — ta mieszanina okaże się dla nich zbawienną: będą ją pić z przyjemnością.

A OTO TRZY ZASADNICZE REGUŁY, KTÓRYCH NALEŻY PRZESTRZEGAĆ:



1. Jarzyny należy dokładnie wymyć, ale nie obierać ze skórki, która posiada odżywcze składniki.

2. Z pomocą odpowiedniego przyrządu wyciskamy sok z jarzyn, nie pomijając przytem ich łodygi i korzeni

3. Kilka kropel cytryny lub pomarańczy dodaje przejrzystości napojom, sporządzonym z jarzyn, które podawać należy dobrze zamrożone.



Pomidory, cytryna i selery działają odżywczo na nasz organizm.



Ekstrakt z kapusty, cytryny i ogórka przyczynia się do uzyskania szczupłej figury.

DLA ODŚWIEŻENIA.

Do soku, wyciśniętego z pomidorów (świeżych lub z konserw) dodajcie trochę soku z cytryny i zmieszajcie pół na pół z sokiem z selerów, ale bez dodawania alkoholu. Ten ekstrakt nietylko odświeża, ale i wzmacnia organizm.

PRZECIW ZAZIĘBIENIOM.

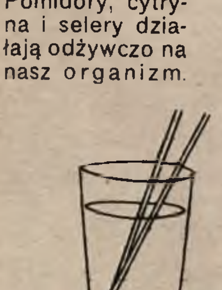
Grape-fruit z miodem. Pokrajać grape-fruit w płatki i sprasować razem ze skórką i nacią. W ten sposób uzyskany sok jest silny i gorzkawy. Trzeba więc dodać do niego trochę miodu, a uzyska się napój smaczny i orzeźwiający. Trzy razy dziennie kieliszek — zwłaszcza rano, w południe i wieczór do łóżka — uodporni wasz organizm przeciw wszelkim zaziębieniom.

ABY DOBRZE TRAWIĆ.

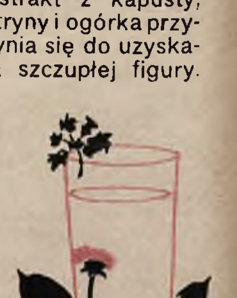
Selery i cytryna. Pokrajać selery na małe kawałki i dodać kilka ich liści. Otrzymacie po wyciśnięciu płyn o jasnej barwie, bardzo smaczny. Półtora kieliszka trzy razy dziennie przed jedzeniem, a wieczorem do łóżka ułatwi trawienie bez żadnych przypadłości.

NA ZESZCZUPLENIE.

Czy wiecie, że kapusta działa na zeszczuplenie? Wykorzystajcie następującą receptę: Całkiem świeżą kapustę kraje się w płatki i wyciska. Dwie trzecie tak uzyskanego soku, pomieszanego z jedną trzecią soku z cytryny, albo grape-fruitu, dadzą doskonały ekstrakt, obfitujący w chlor, żelazo i magnezję. Ten napój działa na schudnięcie, szczególnie w talji. Pije się go trzy kieliszki dziennie.



Doskonałym środkiem przeciwko grypie jest sok grape-fruitu z miodem.



Kaczeńce, pietruszka i cytryna stanowią napój orzeźwiający.

PRZECIW ZATRUCIU ORGANIZMU.

Rzeżucha, pietruszka albo szpinak i sok z pomarańczy. Pomieszać w równych ilościach rzeżuchę i pietruszkę (albo szpinak) i dodać pół na pół sok z pomarańczy. Dwa kieliszki dziennie oczyszczą organizm z wszelkiego zatrucia.

ABY UTRZYMAĆ SMUKŁĄ SYLWETKĘ.

Czerwona kapusta i sok z grape-fruitu bez cukru! Sposób przyrządzania ściśle jak w przepisie „Na zeszczuplenie". Sok z czerwonej kapusty jest jednym z najlepszych napojów, regulujących przyrost tłuszczu. Trzy kieliszki dziennie przed lub po jedzeniu zapewnią wam utrzymanie smukłej sylwetki.

NA POPRAWĘ SAMOPOCZUCIA.

Liście kaczeńca, pietruszka i sok z cytryny albo z grape-fruitu. Umieszcza się pod prasą równe ilości kaczeńca i pietruszki. Uzyskany płyn o pięknym zielonym kolorze miesza się pół na pół z sokiem z cytryny albo z grape-fruitu. Ta doskonała mieszanina, świeża i przyjemna w smaku, wzmocni was w kilku minutach, jeżeli czujecie się źle i zniechęceni. Pić najwyżej dwie szklanki dziennie.



futra MILJONEREK

Tym razem nie będziemy mówić o zdobyczach mody ogólnie obowiązującej — ale o najwyższym jej wykwicie, przeznaczonym jedynie dla „górnych dziesięciu tysięcy"... Kto wie, czy nawet na obu kontynentach naliczylibyśmy aż dziesięć tysięcy kobiet, mogących sobie pozwolić na takie szczyty luksusu, jak w dziesiątki a nawet setki tysięcy idące okrycia wieczorowe z najdroższych futer, jakie dotąd udało się zedrzeć z grzbietów zwierząt ku ozdobie pięknych wybranek losu. Zwykłe śmiertelniczki nie mogą o nich marzyć, ale — o ile stać je na takie oderwanie się od czysto egoistycznego punktu widzenia — mogą podziwiać ich wytworne piękno. Od wielkiej Wystawy Światowej w Paryżu, na której paryscy futrzarze pokazali istne cuda w dziedzinie luksusowych okryć futrzanych, wszystkie wielkie firmy kuśnierskie Nowego i Starego Świata prześcigają się w tworzeniu istnych arcydzieł. Materjałem, nadającym się na takie futrzane „poematy" są wszelkie rodzaje lisów, szenszylle, gronostaje, sobole i nurki.

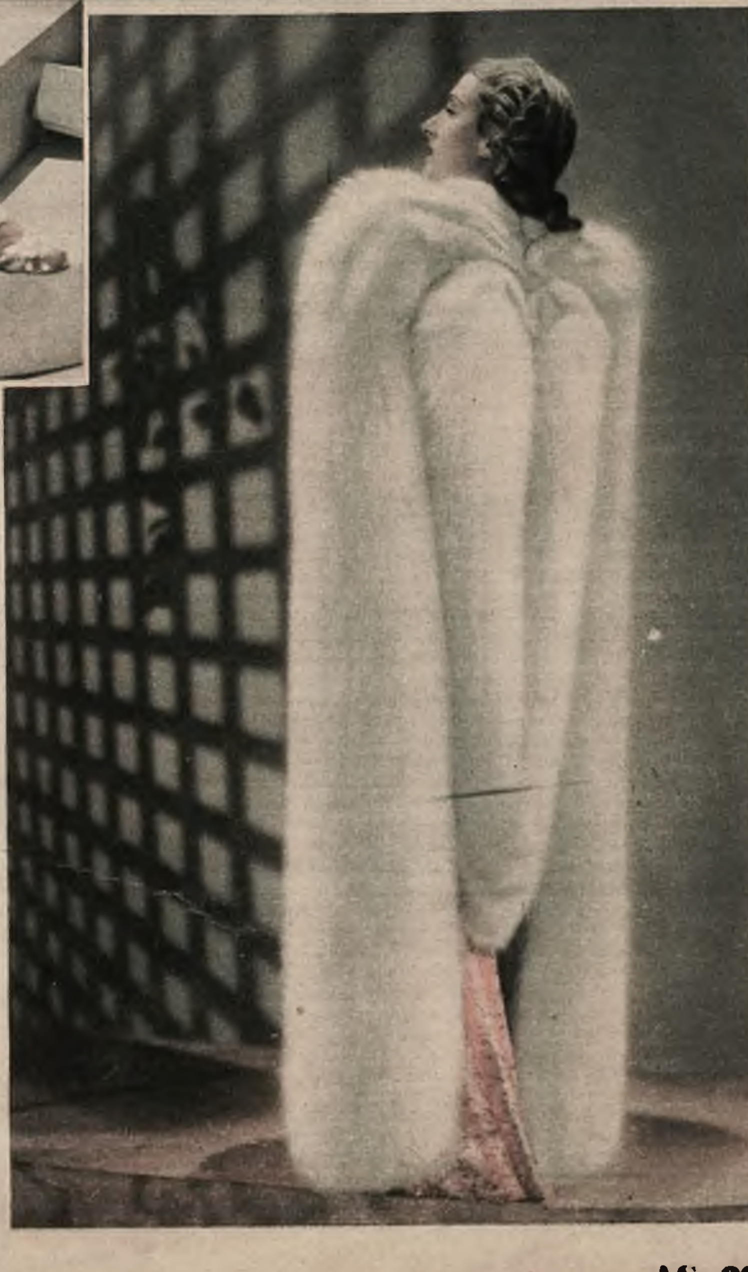
Pomimo, że moda lisów utrzymuje się już tak długo, prymat ich w tym roku nie ulega wątpliwości. O ile dawniej noszono je jedynie jako boa, etole lub małe pelerynki, otulające ramiona, o tyle dziś robi się z nich żakiety, całe płaszcze i długie peleryny o najwymyślniejszym kroju. Modę tę lansowała w zeszłym roku Marlena Dietrich. Płaszcz, który dziś reprodukujemy, to prawdziwe arcydzieło i najpiękniejszy tej mody wytwór. Ale obok najulubieńszych srebrnych — coraz częściej widuje się przez wiele lat zarzucone lisy białe, o niezwykłej puszystości włosa i iście śnieżnej bieli. Do balowych tualet, szczególnie dla całkiem młodych kobiet nadają się one cudownie i są dziś bez porównania modniejsze od królewskich, ale nieco już myszką trącących gronostajów. W wiecznem poszukiwaniu odmiany zaryzykowano barwienie gronostajów na szare, beige i różowawe odcienie, ale próby te nie dają należytego efektu, futro farbowane traci bowiem zawsze na szlachetności i połysku włosa. Bezcenne szenszyle stanowią również idealny materjał na długie okrycia balowe, nieporównane w swej miękkości, lekkości i puszystości. Tegoroczny bal Mody w Warszawie pozwolił nam podziwiać na Królowej Mody 1938 wspaniałą pelerynę z tych kosztownych skórek.

Ale nie wzdychajmy z zawiścią — drogie Czytelniczki! Zawód miljonerki, mimo, że pozwala na posiadanie takich cudów, ma też i swoje ciemne strony. Nie sprawimy sobie w tym roku płaszcza z srebrnych lisów, ale też dzieciom naszym nie zagrażają kidnaperzy w pogoni za miljonowym okupem, ani też kroków naszych nie muszą strzec armje detektywów, czuwających nad naszemi futrami, biżuterją i bezcennemi tualetami. To także pociecha...

Lady Like.

Na lewo: Nie można sobie wyobrazić piękniejszego ensemble'u wieczorowego — jak ten wspaniały płaszcz ze srebrnych lisów w zestawieniu z tualetą ze złotej lamy. *Fot. Georges Saad.*

Poniżej: Królewski płaszcz z polarnych lisów stanowi najmodniejsze okrycie dla tualety balowej. *Fot. Georges Saad.*



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA HISZPAŃSKA „OLLA PODRIDA“. Zupę tę sporządza się z pozostałych kawałków pieczeni. Im więcej gatunków mięs, tem zupa smaczniejsza. Dalszym, najważniejszym dodatkiem jest czosnek, ulubiona przyprawa hiszpańska. (Powiadają, że w Hiszpanji nawet do czekolady dodaje się czosnku). Sposób przyrządzania tej zupy jest następujący: Kawałek słoniny kraje się w kostkę i przesmaża, potem dodaje się różne poszatkowane jarzyny, jak do rosołu, małą, posiekaną cebulę oraz kilka roztartych ząbków czosnku i 3 całe pomidory lub łyżkę gęstej marmolady pomidoorwej. Wszystko to dusi się przez pół godziny, potem dodaje się 10 dkg ryżu, dolewa osobno ugotowanego rosołu z kości, gotuje dalej, a gdy ryż miękki, przeciera się wszystko przez sito, dodaje kawałki różnych mięs i gotuje powoli na kraju blachy przez pół godziny. Przy wydawaniu kraje się mięso w drobną kostkę, kładzie do wazy i zalewa zupą.

OSTRY SOS „A LA DIABLE“. Seler, pietruszkę, marchew, dużą cebulę pokrajać drobno i dusić na łyżce masła z dodatkiem korzeni, jak do marynat i kilku listków estragonu. Kiedy jarzyny są już miękkie, dosypuje się łyżkę tartego, ciemnego chleba, smaży przez chwilę, potem zalewa rosołem lub rozpuszczonym bulionem, zagotowuje i przeciera przez sito do kamiennej rynki. Teraz zaprawia się sos szklaneczką czerwonego wina, łyżką octu, łyżeczką białego pieprzu lub papryki, małą łyżeczką cukru i soli, poczem gotuje się sos jeszcze przez 10 minut. Przed wydaniem dodaje się do sosu trochę siekanych pikli i marynowanych szalotek. Sos ten podaje się na gorąco do sztuki mięsa lub do dziczyzny.

SALSEFJA (CZARNE KORZONKI) jest doskonałą jarzyną mało u nas popularna, a to z tego powodu, że przez nieumiejętne przygotowanie, zmienia kolor i wygląda naprawdę nieapetycznie. A szkoda, bo doskonała jarzyna ta, w skąpym w jarzyny czasie zimowym, może nasz stół urozmaicić. Aby uchronić salsefię przed czernieniem, musi się ją **szybko** oskrobywać i natychmiast wrzucać oskrobane kawałki do przygotowanej wcześniej zimnej wody, rozkłuconej z łyżką mąki i łyżką octu.

Tak przygotowana salsefja może być w różny sposób przyrządzana n. gotowana, jak szparagi: wyjętą z mącznej wody salsefję opłukuje się z ciasta, związuje nitką luźnie w pęczek i rzuca na osoloną, wrzącą wodę z dodatkiem soku z połówki cytryny. Po 30 minutach jest zazwyczaj miękka, wtedy się ją wyjmuje, polewa na salaterce rumianem masłem z bułeczką.

Inne sposoby przyrządzania salefji podamy w następnym numerze „Asa“.

ŁOSOŚ LUB SZCZUPAK MORSKI. Dokładnie wymytą (nie moczoną!) rybę, oczyszczoną z czarnych żył i błon, znajdujących się wewnątrz, kraje się w płaty na palec grube, filety te soli się, kropi sokiem cytrynowym i odstawia na godzinę. Po wyjęciu z soli, obsusza się pojedyncze kawałki serwetą, nie myjąc ich więcej, panieruje w mące, jajku i bułeczce i smaży na mieszanym tłuszczu lub oliwie.

Tak samo przygotowane filety z ryby, można w miejsce panierowania upiec. W tym celu układa się je na ogniotrwałej misce na podłożonem maśle, poczem posypuje się siekanemi sardelami lub smaruje masłem sardelowem, dodaje siekanych kaparków i ziół zielonych, kropi masłem i piecze w gorącym piecyku pod przykryciem. Pozostały po upieczeniu sos może być zaprawiony śmietaną i podany osobno w sosjerce.

Dla osób bardzo wrażliwych na zapach morskich ryb, może być ryba obciągnięta ze skóry i dopiero potem krajana w filety.

KREM KARNAWAŁOWY. 2 żółtka, 2 łyżeczki mąki i łyżkę cukru uciera się z paru łyżkami mleka. 1/4 litra mleka zagotwuje się z kawałkiem wanilji i wlewa wśród ciągłego mieszania na utarte żółtka, poczem stawia się krem na ogniu i miesza do zgęstnienia. Do gorącego kremu dodaje się, mieszając sztywną pianę z 2 białek oraz duży kieliszek rumu. Ostudzonym kremem napełnia się szampanowe kieliszki i ozdabia smażoną wiśnią lub truskawką. Tuż przed podaniem polewa się troszką araku, podpala i płonący podaje.

CHRUST (FAWORKI) Z CIASTA PARZONEGO. Ćwierć litra mleka zagotowuje się, zasypuje 20 dkg mąki i ubija na ogniu na gładką masę. Po ostudzeniu wbija się 2–3 jaj, dodaje troszkę soli i po dokładnem ubiciu dolewa się tyle mleka, aby się utworzyło lane ciasto. Do lejka, trzymanego nad rozpalonym tłuszczem wlewa się po parę łyżek ciasta i wysmaża w ten sposób różne figury, które należy odwracać łopatką, aby się z obu stron ładnie zrumieniły. Po wyjęciu z tłuszczu osypuje się je suto cukrem z wanilją.

MARMOLADA JABŁECZNA: 35 dkg jablek, olupanych i drobno pokrajanych, dusi się z 30 dkg cukru, łyżeczką masła i łyżką marmolady morelowej na gęstą masę; pod koniec duszenia dodaje się 3 dkg rodzynków bez pestek i 1 żółtko.

Sc. Ko.



WIADOMOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Wielkiem udogodnieniem w gospodarstwie domowem, zwłaszcza podczas gruntownych porządków — jest szczotka, posiadająca gumowy grzbiet, który zginając się, umożliwia usunięcie brudu z trudno dostępnych miejsc.

Presse-Photo

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 6

Styczeń

31 dni



Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA **30** Martyny, Adelaj.	Zupa z drobiu z perłówką. Omlet z pieczarkami.Kapłon nadziewany mięsem z sałatą z czerwonej i białej kapusty.Krem karnawałowy z fawork. Kolacja:Móżdżek na muszelk
PONIEDZ. **31** Piotra z Nol.	Zupa hiszpańska.Salsefia z rumianem masłem.Zraziki cielęce w sosie cytrynowym z ryżem.Kisiel żurawinowy. Kolacja:Rulada cielęca w majonezie.

Luty

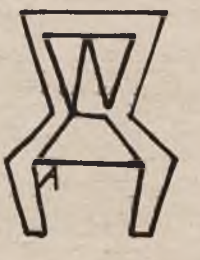
Dzień	Jadłospis
WTOREK **1** Ignacego b.	Zupa kminkowa z lanemi kluskami.Brukselka w śmietanie.Pieczeń sarnia z brusznicami.Jabłka w biszkoptowem cieście. Kolacja:Miseczki z kiełbasy z szpinakiem
ŚRODA **2** NPM. Gromn.	Rosół z kury z groszkiem ptysiowym.Budyń z pieczarek.Kura z rosołu z marchewką duszoną.Strudel tyrolski. Kolacja:Mieszana wędlina z sosem remuladowym.
CZWARTEK **3** Błażeja bisk.	Barszcz czysty z uszkami.Płatki z kapustą lub drożdżowe kapuśniaczki.Zrazy zwijane z kaszką krakowską.Kompot mieszany. Kolacja: Nóżki cielęce faszerowane.
PIĄTEK **4** Weroniki	Zupa z perłówki na śmietanie.Budyń bułkowy z serwetki z sosem grzybowym.Filety z łososia morskiego panierowane,z ostrą sałatką i smażonemi ziemniaczkami.Kompot. Kolacja:Śledź w sosie z mar.
SOBOTA **5** Agaty p.	Grochówka na wędzonce z grzankami.Włoska kapusta smażona w cieście.Pieczeń cielęca z krokietkami i sałatą. Francuskie ciastka z orzech. Kolacja:Flaczki z parmazan



HOCKI-KLOCKI

Rozwiązania z Nru 4-go.

RYSUNEK ZOSI.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania. Należy zacząć w punkcie A.

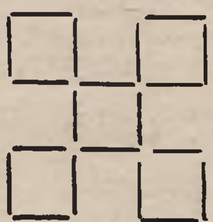
OWCE.

Na łące czterdziestoakrowe mogą się paść dwadzieścia cztery owce.

SCYPION I MAREK.

Scypion urodził się w roku 85 przed Chrystusem.

DWADZIEŚCIA KWADRATÓW.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PYTANIE.

„Mamo, ile ty masz lat?", zapytał ośmioletni Antoś w dzień swych urodzin.

FACHOWA UWAGA.



— Cudowną koloraturę ma ta śpiewaczka.
— Możebyś lepiej zwracał uwagę na jej śpiew... Rys. Charlie,

„Gdy ty będziesz w moim dzisiejszym wieku" odparła mama, „twój ojciec będzie dwa razy starszy ode mnie; lecz gdy będziesz w dzisiejszym wieku swego ojca, ja będę miała 1 i pół raza więcej lat niż twój ojciec ma dzisiaj".

Oczywiście Antoś nie dowiedział się, ile jego mama ma lat, przypuszczamy jednak, że czytelnikom nietrudno będzie określić zarówno wiek mamy, jak i ojca Antosia.

SREBRNE SZEŚCIANY.

Profesor Ułamek pokazał nam dwa srebrne sześciany. Długość krawędzi każdego sześcianu wynosiła 2 cm, tak, że objętości ich były równe 8 cm³, a suma objętości obu brył wynosiła 16 cm³. Profesor Ułamek zapytał się nas, jakie winny być dokładne wymiary dwóch sześcianów, aby suma ich objętości wynosiła 17 cm³. Oczywiście wymiary sześcianów mogą być różne.

ZEGAR ŚCIENNY.

Jeśli zegar ścienny wybija godzinę siódmą przez siedem sekund, to ile sekund będzie bił godzinę dziesiątą?

NIEPOROZUMIENIE.



— Byłbym szczęśliwy, gdyby pani zechciała podzielić mój los.
— A ile pan wygrał? Rys. Charlie,

Dokończenie ze str. 2-ej.

Rano przyszedł na budowę Balcerzak i powiedział im, że Koźdoniowi jest lepiej, a pogrzeb Józka Pluty odbędzie się jutro na cmentarzu w Porąbce. Jutro na dwie godziny stanie praca przy zaporze.

Walek popatrzył na niego i przez chwilę poczuł wzrok inżyniera na swojej twarzy. Zmieszał się, jakby czuł się winnym; ujął taczki w ręce i powiózł po desce ciężar, wysypując go wreszcie z ulgą, jakgdyby pozbywał się ciężaru własnych grzechów.

Z czystem sumieniem pomyślał o Józku. Przecież nic złego mu nie zrobił. Że czasem ostro sobie docięli, to jeszcze niczego nie dowodzi. Właśnie kto się lubi, ten się czubi — mówi przysłowie. I poprzysiągł mu — umarłemu — przyjaźń serdeczną w myślach. I ślubował mu, że na jego intencję stanie się lepszym.

Za parę dni dowiedziano się na robotach (pisały to i gazety), że komisja ustaliła przyczyny nieszczęśliwego wypadku na rusztowaniu. Stwierdzono mianowicie, że lina, do której przymocowano rusztowanie była zupełnie nowa, lecz nie została wypróbowana przez kierownictwo robót.

— Ale dyrektor wypił już za to swoje — mówili robotnicy, widząc jak naczelny inżynier trzykrotnie wyjeżdżał do Krakowa na zeznania przed komisją.

— Co on winien, kiedy go tu nawet nie było podczas robót?

— Ale on kieruje robotami i jest za wszystko odpowiedzialny. Jak ktoś coś zrobi źle z jego robotników, to, bracie, dyrektora przedewszystkiem biorą do odpowiedzialności.

— Ma się rozumieć — przytakuje Walek. — Jak od nas jeden saper z Korbielowa zginął w powodzi pod Nowym Sączem, to jego kapitan miał sąd z tego powodu.

— Tak i nasz dyrektor także pójdzie do sądu. Z tego będzie proces.

— I rodzina Pluty musi dostać odszkodowanie. Bo zginął przy pracy.

— Tak jest. To tak jakby na wojnie zginął.

Mijał październik w chłodzie i chmurnej pogodzie. Czasem spadł deszcz, ale nieszkodliwy. Beton już dawno związał się mocno w blokach, niech teraz deszcz trochę ściany popłuka, przegroda zahartuje się — mówili inżynierowie.

Jedynka od paru dni pracuje przy porządkowaniu zbiornika; znowu wykopy przy brzegach w ziemi twardej, znowu wyłomy kamienia, pompowanie wody, wyrzucanie i odwożeniu żwiru na taczkach. Walek znał dobrze tę robotę, najnudniejszą, zginającą krzyże; czasem, gdy koło u taczek zaczęło piszczeć, wspominał rzewnie Józka. Jeszcze nie był po jego śmierci w Jeleśni i nie prędko pojedzie. Będą się go pytali wszyscy jak zginął Pluta. Nie był przy jego zgonie, nie może nic o tem powiedzieć.

Ej, Józek, Józek! To był dobry chłopak! Takiego towarzysza utracić! Już może Walek z nikim nie nawiąże tak serdecznej przyjaźni, jak z nim. Przecież razem przed laty paśli gęsi na Krzyżówce. Tyle czasu razem spędzili

Popołudniu szedł z Maturzystą i Kubickim do Międzybrodzia na gruszki. To był przyszły teren zalewu. Inni wieśniacy już dawno otrzymali odszkodowanie i przenieśli się w górę, ale obaj bracia Tokarzowie uparcie trzymali się w chałupach i mimo wezwań nie ruszyli się z domów.

— Wiem, że się muszę stąd wyprowadzić — mówi Jędrek Tokarz, siedząc na progu — ale jak się skończy sąd. Ja się dlatego prawuję w sądzie, bo mnie chcą pokrzywdzić. Jak mi adwokat powie, żebym się usunął, to pójdę. W przyszłym tygodniu ma być sąd w Kętach, to będziemy widzieli.

Dał im chętnie gruszek; to były ostatki tak zwanych zimówek, rumianych i twardych. Tokarz pokazywał palcem na łąki.

— Ja wiem, że tu będzie woda hulać: pójdziemy stąd chętnie. I tak co roku wodę mieliśmy tu na polach. To nie życie, to męka. Niech to woda pochłonie. Inni już rozebrali domy. Ja za tydzień chałupę rozbiorę i wszystko przeniosę. Tam na górze założymy nowe gospodarstwo.

Potem odwracał się do chłopców i namawiał:

— Strząśnijcie sobie trochę jabłek. Nie zabiorę tego z obą. I tak muszę to ściąć.

W górze chłopi wozili cegły furami z Żywca na nową budowę. Walek spogląda na czubę Międzybrodzia. Tam powstaje nowe życie, nowe chałupy dla letników, którzy tu będą przyjeżdżać po lasy, powietrze i wodę — a w dole walają się resztki rozebranych starych, zbutwiałych chałup — obraz życia wczorajszego, nawiedzanego powodzią i błotem.

— Tu będzie dno jeziora — wskazuje Tokarz na swoje domostwo.

— Tak — przyświadcza Walek, gryząc jabłko.

—o—

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

A. GRONOWICZ: ZBUNTOWANĄ PIEŚNIĄ PRZEZ WIEŚ. Trzeci tom wierszy lwowskiego poety Antoniego Gronowicza, który ukazał się właśnie w nakładzie **Księgarni Lwowskiej**, przynosi znaczną kondensację tematyki i nastroju. Czuchnowski, który wywarł niewątpliwe piętno na Gronowiczu, przeobraził się obecnie w nim w wyraz własny poety, ciekawy w ujęciach, silny w treści, młodzieńczy i śmiały w podejściach i sformułowaniach. Inna rzecz, że jednolitość tematu wytwarza pewien nastrój, zbyt jednaki dla całości tomiku — poprostu pewną monotonję. Czy istotnie jest tylko tak, jak widzi Gronowicz? Czy serca poety nigdy nie dotknął promień słońca, gdy z zbuntowaną pieśnią szedł przez polską wieś? Rozszerzenie światopoglądu, wyjście z impasu pewnej grupy dałoby silnemu talentowi Gronowicza nowe blaski, nowe walory — na przyszłość konieczne...

JAN BOL. OŻÓG: WYJAZD WNUKA. „Poetom idącego autentyzmu" poświęcił **J. B. Ożóg** swój pierwszy zbiór, który ukazał się jako 6-ty tom **Bibljoteki „Okolicy poetów"**. Chociaż właściwie „autentyzm" jest pojęciem może najluźniejszem z wszystkich współczesnych „izmów", na poezji Ożoga rozumiemy sporo z jego założeń, gdyż wiersze te czynią wrażenie istotnie szczerych, istotnie „przeżytych", nierobionych. Liryka w nich świeża a nie rozlewna, skondensowana, piękna zwrotka, dużo ładnie malowanych parabol. Dlatego właśnie, że Ożóg wydaje się być naprawdę „poetą z przyszłością" — wolelibyśmy go ostrzec przed „autentyzmem" — nie dlatego, byśmy widzieli w tym kierunku czy raczej w tej „szkole" coś ujemnego czy szkodliwego — ale dlatego, że nie widzimy powodu, aby młody i silny talent poetycki odrazu występował w takiej czy innej liberji... Czyż wolność pod każdym względem i za wszelką cenę nie jest najwłaściwszą ojczyzną poety!

ADAM M. NOWAKOWSKI: LAUREAT. W okresie dziesięciu lat — tom wierszy „Tydzień i miłość", powieść „**Półdjablę**" i obecnie trzecia książka — nowele „**Laureat**"... Niedużo pisze **Adam Marjan Nowakowski** — ale pisze zato — doskonale. „Opowiadaniami szyderczemi" nazwał tę swoją trzecią książkę, która właśnie wyszła w nakładzie **Księgarni Wł. Michalaka i Ski** w Warszawie. Istotnie, dużo w nich jest szyderstwa, ironji, karykatury, a równocześnie dużo dążenia do sentymentu, naumyślnie zamaskowanego i wypaczonego. Talent Nowakowskiego jako prozaika jest bujny, a zarazem jakby przefilozofowany, jakby naumyślnie skrzywiony w kierunku, który może nie idzie całkiem po linji Nowakowskiego-poety... Ale to są rozważania teoretyczne. Grunt, że jest to talent nadwyraz oryginalny i że „Laureat" zasługuje na podkreślenie krytyki i na powodzenie u publiczności, składają się bowiem na ten tom nowele naprawdę pociągające, interesujące, oryginalne, śmiałe i dowcipne, odsłaniające często „dulszczyznę" naszego obecnego życia i walczące ze snobizmem i różnemi „fałszywemi bogami".

W. Z.

NA SCENIE.

WARSZAWA. Pogodny wieczór przygotował widzom teatr „Ateneum", wystawiając komedję amerykańskich autorów M. Harta i G. S. Kaufmanna p. t. „**Cieszmy się życiem!**". Jest to pełna nieprasobliwego śmiechu satyra na zmechanizowany tryb życia w Ameryce. W tym kraju businnessmanów niejaki pan Sycomore przed 35 laty doszedł do przekonania, że nie warto trudzić się pracą zawodową, że daleko lepiej schronić się wraz z rodziną w zacisznym kącie i „cieszyć się życiem". Autorzy przeprowadzają wesołą rewizję kultu pracy. Dowcipna intryga i zabawne figury komedjowe, począwszy od senjora rodu składają się na wdzięczną całość, choć może w naszych warunkach mniej na czasie, niż w U. S. A.

W roli dobrodusznego Sycomore'a ujrzeliśmy Jaracza. P. Perzanowska była matką rodu Sycomore'ów. Inni wykonawcy: pp. Kryńska, Kempa, Jaraczówna, Pośpiełowski, Chmielewski. Ten ostatni jest również reżyserem sztuki.

TORUŃ. Duży sukces odniosła w Teatrze Ziemi Pomorskiej p. Irena Ładosiówna, grając rolę tytułową w „**Marji Stuart**" Słowackiego. Postać Darnley'a stworzył p. Rokossowski, kochanka królowej Bothwella p. Surzyński, błazna Nicka p. Molski. Reżyserowała p. Małkowska.

J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 30 stycznia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie.
10.30 Giacomo Puccini: „Cyganerja" — skrót opery (płyty).
11.30 „Bitwa Narodów pod Lipskiem" — reportaż.
12.03 Poranek muzyczny z Poznania.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Suita na orkiestrę smyczkową Adolfa Butzego. Transmisja ze studja na Wystawie Radjowej w Łodzi.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
18.55 Powszechny Teatr Wyobraźni: „Druga żona".
19.35 Muzyka taneczna z płyt.
20.45 „Humor krakowski na cenzurowanym" — wesoła audycja.
21.45 Recital fortepianowy Claudio Arrau.
22.25 Muzyka lekka (płyty).

Poniedziałek, 31 stycznia.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Audycja p. t. „W warsztacie rymarza".
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Koncert popularny.
17.15 Koncert solistów.
18.10 „Uczmy się polskich tańców".
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Dyskutujmy: „Obywatel jako sędzia".
20.00 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne ze stycznia.
22.00 Koncert symfoniczny. Transmisja z Teatru Wielkiego.

Wtorek, 1 lutego.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Gra William Primrose — płyty.
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci ze Lwowa.
16.15 Koncert rozrywkowy. Transmisja ze studja na Wystawie Radjowej w Łodzi.
17.15 Recital śpiewaczy Yvon le Marc Hadour.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „10 zasług. 2 występki K. Wł. Wójcickiego" — wieczór literacki.
19.30 Polska twórczość chóralna (VII audycja).
20.00 „Europa tańczy" — audycja muzyczno-słowna.
20.40 „Przedstawiamy speakerów", audycja Wielkiego Konkursu Zimowego.
21.00 Koncert symfoniczny (ze Lwowa).
22.00 Muzyka taneczna.

Środa, 2 lutego.

8.00 Audycja poranna.
8.15 „Od poranku do północy" — koncert rozrywkowy (płyty).
9.25 Utwory François Couperin (płyty).
10.00 Transmisja naboż. z kościoła Najświętszej Marji Panny w Krakowie.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
15.50 „Hokus-pokus-dominikus" — audycja dla dzieci.
16.05 Koncert kameralny.
17.00 „Z dziejów polskiej kawalerji lekkiej" — odczyt.
17.15 „Wilcza noc" — audycja muzyczna.
17.50 „Dobre serce matki" — pogadanka.
19.30 Ostatni raz kolendy — koncert z Katowic.
20.00 Melodje taneczne na instrumentach solowych (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Henryka Sztompki.
21.45 „Wizyta u lekarza" — skecz.
22.00 Muzyka taneczna ze Lwowa.

Czwartek, 3 lutego.

11.15 Pieśni Ludowe wielkopolskie — poranek dla młodz.
11.40 Haydn Wood — kompozytor i dyrygent (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży.
16.15 Recital wiolonczelowy Józefa Miłkulskiego.
17.00 „O książce prof. Malinowskiego „Życie seksualne dzikich" — odczyt.
17.15 „Staromodny śpiewniczek" — lekka audycja muzyczna.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Słuchowisko „Pokusa".
19.30 Ottorino Respighi: Toccata, w wykonaniu J. Żurawlewa.
20.00 Wieczór operetkowy w wyk. Małej Orkiestry P. R. i solistów.
21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki M. Rusinka.
22.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki.

Piątek, 4 lutego.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Minjatury kameralne (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 „Stanisław Jachowicz — przyjaciel dzieci" — audycja dla dzieci z Poznania.
16.15 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry Wileńskiej.
17.00 „Macocha" — pogadanka.
17.15 Stara i nowa muzyka na flet — koncert.
18.10 „Uczmy się tańców polskich".
18.30 Audycja dla wsi.
18.35 „U dawnych mistrzów cechowych" (Obrazki z przeszłości rzemiosła).
19.30 „Ship ahoy" — rapsodja pieśni marynarzy szwedzkich. — Transmisja ze Sztokholmu.
20.10 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 5 lutego.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Utwory Beethovena (płyty).
12.03 Audycja południowa.
15.45 Słuchowisko dla dzieci „Bajka o niewidzialnym człowieku" — ze Lwowa.
16.15 Koncert chóru „Zjednoczenie". Transmisja ze studja na Wystawie Radjowej w Łodzi.
17.00 Transmisja naboż. z Ostrej Bramy w Wilnie.
18.15 Piosenki w wyk. Binga Crosby (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Polska Kapela Ludowa, pod dyr. F. Dzierżanowskiego.
21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.